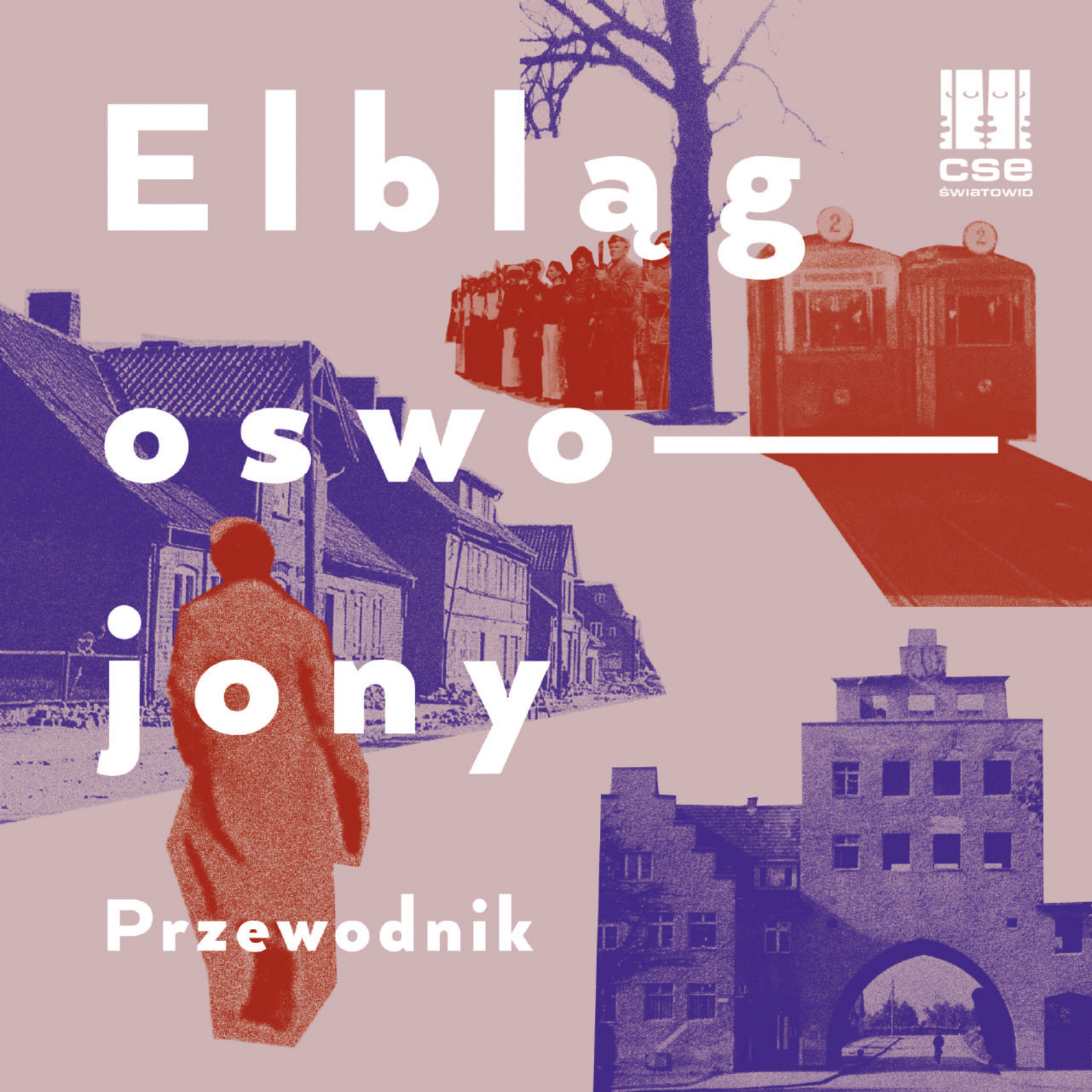


Elbląg

o s w o

j o n y

Przewodnik



Elbląg

oswo

jon

Przewodnik



Instytucja Samorządu
Województwa Warmińsko-Mazurskiego

Redakcja: Karolina Śluz

W pracach redakcyjnych udział wzięli:

Aleksandra Bielska, Joanna Meryk, Krystyna Kajrewicz, Krystyna Górecka, Wanda Wesołowska

Korekta: Monika Denisiuk

Projekt graficzny: Agnieszka Poppek-Banach, Kamil Banach

Łamanie: Krzysztof Prochera

Konsultacje: Juliusz Marek

Specjalne podziękowania dla:

Dariusza Ignatowicza i Anety Tadry – Stowarzyszenie Elbląg Europa, administratorów grupy na Facebooku pn. Zdjęcia Elbląga, Grażyny Jaskuły, Michała Kalbarczyka

Wydawca: Centrum Spotkań Europejskich „Światowid” w Elblągu

Materiał dostępny na licencji wolnej CC BY-SA Creative Commons 3.0

Copyright by Centrum Spotkań Europejskich „Światowid” w Elblągu

Wydanie I

Elbląg 2019

Przewodnik „Elbląg oswojony” został przygotowany w ramach projektu pn. „Nasze tutaj” realizowanego przez CSE „Światowid” w Elblągu w okresie od maja do grudnia 2019 roku. Dofinansowano ze środków Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach Programu „Patriotyzm Jutra”.



#naszetutaj

Spis treści

WSTĘP	7
SPACER I	8
plac Dworcowy > Wojska Polskiego > Adama Mickiewicza > Tadeusza Kościuszki > Romualda Traugutta > Słoneczna > 12 Lutego > 1 Maja > plac Słowiański	
SPACER II	34
Cypriana Kamila Norwida > Fryderyka Chopina > Królewiecka > Pionierska > Osiedle Marynarzy > Michała Kajki > Szczecińska	
SPACER III	58
Tytusa Chałubińskiego > Browarna > Brzeska > Tadeusza Rechniewskiego > Ignacego Daszyńskiego > Adama Próchnika > Robotnicza > Gwiazdna	
SPACER IV	85
Czerniakowska > Malborska > Zagonowa > Lotnicza	
SPACER V - SPACER WŁODZIMIERZA MENGELA	95
plac Dworcowy > Wojska Polskiego > Adama Mickiewicza > Tadeusza Kościuszki > Górnośląska > Romualda Traugutta > Stanisława Moniuszki > Marymoncka > Leśna	



Antoni Czyżyk

Dyrektor Centrum Spotkań Europejskich „Światowid” w Elblągu

To wiemy: po II wojnie światowej nastąpiła niemal całkowita wymiana mieszkańców Elbląga. Miasto, dotychczas niemieckie, zamieszkali przybysze z różnych stron kraju i świata. Ci przyjechali tu w poszukiwaniu lepszego życia. Zastali miasto wygrzebujące się w wojny. Miejsce, gdzie wszystko trzeba było zorganizować od nowa. Każdy radził sobie, jak umiał. Jeść, spać i w coś ubrać się trzeba było. To były pierwsze wyzwania przed jakimi stawali nowi mieszkańcy.

Po kilkudziesięciu latach od tamtych przeżyć, w Roku Pionierów Elbląga, oddajemy w Państwa ręce przewodnik, który jest próbą spojrzenia na nasze miasto oczami nowych elblążan. Nosi tytuł „Elbląg oswojony” i tworzą go opowieści o doświadczaniu powojennego Elbląga, o organizowaniu życia w nim i o oswojaniu miasta. W rolę przewodników wcieliliśmy samych pionierów lub ich potomków. Wypowiedzi pochodzą z odnalezionych wspomnień lub rozmów przeprowa-

dzonych na potrzeby projektu „Nasze tutaj”.

Przewodnik „Elbląg oswojony” to pięć propozycji nietypowych wędrówek po Elblągu. Na każdą z nich składa się mapa, osobiste relacje, do tego archiwalne i współczesne zdjęcia Elbląga. Obok oczywistych w tym kontekście ulic jak Pionierska czy Osiedle Marynarzy, znajdziemy tu nieistniejącą już ulicę Tytusa Chałubińskiego, ale też wiele innych. Może przewodnik „Elbląg oswojony” zainspiruje Państwa do uważniejszego spojrzenia na miejsca, które są „nasze”? Nasze prywatne, rodzinne, osobiste. Nasze elbląskie. Nasze tutaj.

I.

Spacer

Długość_4,6 km

Czas trwania_58 min

Trasa

- › plac Dworcowy
- › Wojska Polskiego
- › Adama Mickiewicza
- › Tadeusza Kościuszki
- › Romualda Traugutta
- › Słoneczna
- › 12 Lutego
- › 1 Maja
- › plac Słowiański





plac Dworcowy

Helena Stachnowicz:

Do Elbląga zajechaliśmy nocą. Na dworcu kłębił się tłum przyjezdnych, paliło się ognisko, przy którym wszyscy się ogrzewali. To był październik 1946 roku. Miałam wtedy piętnaście lat. Kiedy wyszliśmy na dworzec, podszedł do nas pracownik Państwowego Urzędu Repatriacyjnego¹ i zapytał, czy mamy już tu upatrzone mieszkanie. Powiedzieliśmy, że nie.

Witold Grodziewicz:

Zaraz po zakończeniu wojny w gazetach pisali o Ziemiach Odzyskanych, o tym, że są wolne domy i dużo miejsc pracy. Nie było co szukać, trzeba było jechać tam.

Paweł Sikorski:

Przyjechałem na Ziemię Odzyskaną, bo władze nawoływały, aby przyjeżdżać i je zaludniać, bo one są już nasze. Żeby odbudowywać te ziemie z ruin, tworzyć administrację polską. Miałem też interes własny: zdobyć mieszkanie i założyć tu rodzinę.²

Irena Łacka:

Do Elbląga przyjechałam drugim po wojnie transportem z Warszawy, gdzie się urodziłam i mieszkalam. Przywieźli nas bydłącym pociągiem i rozwozili po ziemiach, które nazywali odzyskanymi. My trafiliśmy do Elbląga. Wysadzali i mówili: rób, co chcesz. Przyjechaliśmy z gołymi rękami. Nikt nic nie miał, chyba że ktoś jakieś kołdry ze sobą przywiózł. Byliśmy razem z sąsiadami, którzy potem stali się jak rodzina.

Paweł Sikorski:

21 lipca 1945 roku o godz. 19:00 wysiadłem w Elblągu. Zobaczyłem cały dworzec zastawiony pianinami i maszynami do szycia. Zrozumiałem, że miasto zostało ogołoczone z tych dóbr, a dobra przygotowano do wywozu na wschód.

¹ Państwowy Urząd Repatriacyjny (PUR) – Powiatowy Oddział PUR w Elblągu został utworzony 28 czerwca 1945 roku. Jego organizacją zajęli się dwaj wysłannicy Oddziału Wojewódzkiego PUR w Sopocie: Ignacy Franciszek Widota - naczelnik elbląskiej placówki oraz Tadeusz Żak - lekarz powiatowy PUR-u. PUR w Elblągu kilkakrotnie zmieniał lokalizację. Do sierpnia 1945 roku mieścił się przy ulicy Ogrodowej 16, następnie został przeniesiony na ulicę Wojska Polskiego, a po kilku miesiącach na ulicę Saperów. W szczycie działalności liczba pracowników PUR-u w Elblągu wynosiła 400 osób.

² Na szarym tle umieszczone zostały wspomnienia zebrane przez Stowarzyszenie „Koło Pionierów” im. inż. Mieczysława Filipowicza i archiwizowane przez Stowarzyszenie Elbląg Europa.



1. Widok na tory przy Dworcu Głównym w Elblągu, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk

Helena Stachnowicz:

Mój ojciec nazywał się Aleksander Pszkit i pracował jako fotograf. Była nas czwórka dzieci. Tadeusz – brat – poszedł na lotnika do Poznania, potem ja - Helena, Janina i najmłodsza Teresa. W 1939 roku Niemcy spalili mój dom w Stoczku Łukowskim (przyp. red. województwo lubelskie). Nie mieliśmy gdzie mieszkać i z czego żyć. Po spaleniu mieszkaliśmy najpierw w lesie, potem w szkole, aż wreszcie w miejscu spalonego domu ojciec zbudował lepiankę. Była ona tak ciasna, że nasza sześćosobowa rodzina z trudnością się w niej mieściła, szczególnie nocą. Rozkładaliśmy wtedy sienniki na podłodze i tak spaliśmy. Mieszkaliśmy tak do chwili, kiedy znajomi rodziców, państwo Drozdowiczowie, zaproponowali wyjazd do Elbląga.

Krystyna Duda:

W lipcu 1945 roku wsiadłam do pociągu osobowego jadącego w kierunku Elbląga. Pociąg był bardzo zatłoczony, nie tylko wewnątrz wagonów, ale też z zewnątrz. Utrudniało to samą jazdę, transport jechał dość wolno i często stawał poza stacjami w polu. Powodem stawania pociągu poza stacjami był brak odpowiednich urządzeń do zaopatrywania parowozu w dostateczną ilość wody i paliwa. Mężczyźni pomagali w dostarczaniu potrzebnego drzewa z lasów położonych wzdłuż torów kolejowych. Mimo tych trudności, następnego dnia po wyjeździe z Warszawy około południa dojechaliśmy do stacji w Elblągu. Zatrzymaliśmy się, jak pamiętam, na dworcu towarowym, ponieważ dworzec, a właściwie sam budynek dworca, był nieczynny.

Witold Grodziewicz:

Jechaliśmy z Warszawy. Pociąg zatrzymał się w Olsztynie i dalej nie chciał ruszyć. Na peronie stał drugi. Zapytaliśmy maszynistę, czy mógłby nas podwieźć do Elbląga. Odpowiedział, że tak, ale nie za darmo. Daliśmy mu butelkę bimbru. Po drodze pociąg się zepsuł i ostatecznie wieczorem udało nam się dojechać do Pasłęka. Raniutko wstaliśmy i poszliśmy do Elbląga. Szła z nami pewna rodzina z Warszawy. W Pasłęku wyszabrowali wózek, wrzuciliśmy na niego nasze rzeczy i trochę jedzenia, które mieliśmy ze sobą. Po drodze zbieraliśmy owoce. Pchaliśmy ten wózek przez dwadzieścia parę kilometrów. Około południa doszliśmy do Elbląga. Zachodzimy, patrzymy, stoi otwarty szlaban, a przy nim Rusek. Nie zatrzymał nas. Szliśmy przez pola z białą-czerwoną opaską, żeby było widać, że jesteśmy Polakami.

Helena Stachnowicz:

Podróż do Elbląga trwała siedem dni. Jechaliśmy pociągiem towarowym. Nasz wagon zajmowało kilka rodzin. Na środku wagonu stała „koza”, na której mama gotowała zupę dla całej rodziny. Czasami starczało i dla sąsiadów. Węgiel zdobywaliśmy na kolejnych stacjach, gdzie pociąg się zatrzymywał, bywało, że na dość długo. Kaszę, ziemniaki, buraki, marchew mieliśmy jeszcze ze Stoczka Łukowskiego. Okrasę stanowiły kawałki wędzonego boczku. Jechaliśmy w nieznaną.



2. Plac Dworcowy w latach 70. XX wieku. Fot. Czesław Misiuk

Wojska Polskiego

Helena Stachnowicz:

Rankiem po przyjeździe do Elbląga ojciec zaszedł do PUR-u przy ulicy Wojska Polskiego, gdzie otrzymał wskazówki dotyczące skupisk Polaków i wolnych mieszkań. Dostał też kawałek wędzonej słoniny, chleba i kartkę, która uprawniała nas do tego, że mogliśmy iść do sklepu i się w nim zaopatrzyć.

Krystyna Duda:

Dokładnie na drugi dzień po przyjeździe w Urzędzie Repatriacyjnym zaproponowano mi pracę w handlu. Miałam szkołę w tym kierunku i pracowałam w handlu podczas okupacji, dlatego proponowaną pracę przyjął. Dlaczego zdecydowałam się na wyjazd? Nasz dom rodzinny uległ zniszczeniu w trakcie powstania warszawskiego. Nie było żadnych możliwości, żeby dalej mieszkać w Warszawie i tam pracować. Punkty PUR-u informowały warszawiaków o możliwości uzyskania miejsc pracy i mieszkań w Olsztynie i Elblągu. Wybrałam Elbląg.



3. Ulica Wojska Polskiego. Autor nieznanym.

Adama Mickiewicza

Waldemar Krzysztofik:

Do Elbląga przyjechałem z matką 6 listopada 1945 roku. Najważniejszym problemem było wówczas znalezienie lokalu do zamieszkania i zorganizowanie warunków do życia. Nie znając miasta, bałem się chodzić po ruinach Elbląga. Pierwszą kwaterę znalazłem przy ulicy Mickiewicza 13. W mieszkaniu nie było ani drzwi, ani ram okiennych. Po kilku dniach w innych zburzonych domach znalazłem brakujące elementy i tak zabezpieczyłem izbę do zamieszkania. Przyjechalśmy z Różana nad Narwią (przyp. red. województwo mazowieckie). Tam ukończyłem sześć klas szkoły podstawowej.

Od sierpnia 1942 do stycznia 1943 roku przebywałem w obozie karnym w Makowie Mazowieckim. To była kara za ucieczkę z robót przymusowych. Następnie ponownie wywieziono mnie na roboty przymusowe. Po wyzwoleniu wróciłem do kraju i odszukałem swoją matkę, zamieszkałą wówczas w leśnej ziemiance. Z uwagi na brak podstawowych warunków życia zdecydowaliśmy się wyjechać w świat za chlebem.

W początkowym okresie życia w Elblągu było bardzo trudno pod każdym względem. Doskwierał brak zakładów pracy. Pracowałem tylko dorywczo przy odgruzowaniu fragmentów miasta. Wynagrodzenie zaledwie wystarczało na jedzenie.

Irena Łacka:

Osiedlaliśmy się blisko dworca, w okolicy Mickiewicza. Ludzie bali się Ruskich, pełno ich było. Oni gwałcili i kradli. Domy po Niemcach to przecież przez nich były ogołoczone. Z Zamechu brali maszyny, śrubki, wszystko, co się dało i wywozili pociągami.

Jak przyjechałam, to nic mi się tutaj nie podobało. Nie spodziewaliśmy się, że nas przywiozą do miasta pełnego gruzów. Było pusto, pełno cmentarzy, gruzy właśnie i żadnej pracy. Nie było nawet gdzie chleba kupić. Dopiero po dłuższym czasie zaczęli uruchamiać fabryki, zakłady pracy i wszystko trochę ruszyło. Na rogu Mickiewicza i Ogrodowej otworzył się rzeźnik pana Rybickiego. Potem koło niego jakaś pani otworzyła sklep spożywczy.

Miałam jeszcze brata o pięć lat młodszego i z nim była historia taka, że on nam się zgubił. To było tak, że jak wybuchło powstanie w Warszawie, to Niemcy z okolic Pragi wyganiali wszystkich ludzi i wtedy to się stało. Zaopiekowało się nim sowieckie wojsko, karmili go. Po wojnie odnaleźliśmy się i on przyjechał do Elbląga.

W Elblągu urodziły się moje dzieci, ale ja czuję się warszawianką. Zawsze czułam, że Elbląg to nie moje miejsce. Że to jest cudze miasto, prawie niemieckie.



4. Ulica Adama Mickiewicza, rok 2008. Fot. Krzysztof Prochera

Tadeusza Kościuszki

Witold Grodziewicz:

Dostałem klucze do mieszkania przy ulicy Kościuszki. W mieszkaniu, które mi przyznali, były meble i prawie wszystko, co potrzebne. Nie było tylko czym się przykryć do spania. Ktoś wyszabrował stąd kołdry, zanim przyszliśmy. Wzięliśmy dwa chodniki z pobliskich opuszczonych niemieckich mieszkań. Jednym chodnikiem pościeliliśmy, drugim przykryliśmy się i tak spaliśmy we trójkę.

Nie było żadnego sklepu ani nic, żeby w ogóle coś można było kupić. Tylko trzeba było chodzić i szukać jedzenia po piwnicach niemieckich albo iść do Ruskich. Ruskie mieli swoje bazy i magazynowali w nich wszystko, co najlepsze. Jak się miało bimber, to można było od nich coś dostać - taka wymiana była. Jakoś trzeba było przeżyć.

Helena Stachnowicz:

Na ulicy Kościuszki mieszkaliśmy pod numerem 67/5. Zamieszkaliśmy na trzecim piętrze, ale tam było ciasno: trzy pokoje, kuchnia, łazienka. Mieszkanie miało meble. W kuchni stała nawet maszyna do szycia, na której mama poszyła nam sukienki. Obok domu był ogród. Mama posiadała w nim warzywa i kwiaty. Mieliśmy więc swoje ziemniaki, kapustę, buraki, rzodkiewki, koperek, szczaw. Sąsiedzi byli mili. Piętro niżej mieszkali państwo Drozdowiczowie z moją ukochaną koleżanką Celiną. Obok – państwo Zielonkowie. Życzliwi, zawsze uśmiechnięci. Pomagali mamie w zakupach, doradzali, co i gdzie można kupić.

Troszkę dalej, od ulicy Wspólnej były wolne pola. Ojciec z mamą skopali tę ziemię i posadzili kartofle, buraki, marchew, kapustę. Kapusta wyrosła tak wielka, jakiej w Elblągu nikt nie widział. Ludzie przychodzili, patrzyli, podziwiali tę kapustę. Tak było, dopóki mama się nie rozchorowała, leżała, a ojciec sam harował na tej ziemi. Ostatecznie ojciec w pojedynkę nie podołał obowiązkowi. Pola zaorano, powstały tam nowe domy.

W pierwszym domu za sklepem mieszkali państwo Boguszowie. Zdziwiłam się, że wzięli lokal, w którym wilgoć była taka, że po ścianach ciekło. Mówili, że wybrali mieszkanie tutaj, bo w sąsiednich domach są znajomi. Ludzie bali się być sami. Skupiali się Polacy przy Polakach.

Jedzenia brakowało dotąd, dopóki ojciec nie zaczął pracować w Zamechu. W pracy dostawał wyżywienie i przynosił dla nas to, czego tam nie zjadł.

Kiedy nie było co jeść, chodziliśmy po domach, po ogródkach i szukaliśmy owoców czy warzyw. Rodzice nie wiedzieli o tym naszym szwendaniu się. Mama leżała chora, ojciec pracował, a myśmy włóczyli się po mieście.



5. Zygmunt Tydrych (mąż Heleny Stachnowicz) z córką Grażyną przy ul. Kościuszki - lata 50. XX wieku.
Fot. Archiwum prywatne Grażyny Jaskuły



6. Helena Stachnowicz z córką Grażyną przy ul. Kościuszki - lata 50. XX wieku. Fot. Archiwum prywatne Grażyny Jaskuły

Tadeusza Kościuszki

Helena Stachnowicz:

Któregoś dnia wróciłam ze szkoły i byłam potwornie głodna. Rzuciłam teczkę w przedpokoju i zajrzałam do kuchni. Niestety, garnki były puste. Ojciec nie wrócił jeszcze z Zamechu, mama sparaliżowana czekała cierpliwie na jego powrót i na jakąś zupę ugotowaną przez niego naprędce. Rozejrzałam się po kuchni, ale nie znalazłam nic, co mogłoby posłużyć za podstawę zalewajki. I wtedy ktoś zapukał. To sąsiadka z dołu, koleżanka Cela, widząc, że nie ma jeszcze obiadu, zaprosiła mnie do siebie na zupę pomidorową. Zawahałam się. Ja się najem, a mama i rodzeństwo? Ojciec stołował się w Zamechu, więc nie musiałam się o niego martwić, ale siostry? Wtedy przypomniałam sobie opuszczony, ponemiecki ogród, który znajdował się naprzeciw cmentarza.

Od czasu do czasu ktoś tam buszował. Wyszukałam płócienną torbę i nieco zniszczony koszyk i popędziłyśmy. Stał jednopiętrowy dom, nawet niezniszczony i chyba - jak wtedy myślałyśmy - niezamieszany, otoczony sporym ogrodem. Pod drzewami leżały opadłe jabłka i gruszki. W głębi wśród zielska dostrzegłyśmy marchew i buraki. Ziemniaków nie było - dobre i tyle. Szybko napełniłyśmy torby i kosz i już miałyśmy zatrzaskać furtkę, gdy w domu zauważyłyśmy jakiś ruch. Ktoś mignął w oknie, potem trzasnęły drzwi i wyszła jakaś kobieta. Na nasz widok cofnęła się i zniknęła w domku. Postawiłyśmy torby i kosz na ścieżce i postanowiłyśmy nieco poszperać wokół domu. Podeszłyśmy do drzwi, poruszyłyśmy klamkę. Ani drgnęła. Drzwi były zamknięte od wewnątrz! Podeszłyśmy do okien. W kuchni na stole stał talerz, obok leżała łyżka, ale nie było nikogo widać. Postanowiłyśmy zajrzeć do pokoju. Okno nie miało firanek, ale wewnątrz było ciemno. Cela podsadziła mnie, oparłam ręce o parapet i ciekawie zerknęłam do wnętrza. To, co ujrzałam, zszokowało mnie do tego stopnia, że cofnęłam się gwałtownie i spadłam na ziemię. Na stole stała mała trumienka!

Gdy ojciec wrócił z pracy i z PUR-u, skąd przyniósł trochę kaszy, słoninę, pęto kielbasy, opowiedziałyśmy mu, co zobaczyłyśmy. Ojciec postanowił sprawdzić, czy to, co mówimy, jest prawdą. Wyszedł z domu i wrócił wstrząśnięty. Potwierdził, że w tym domu mieszka jakaś kobieta i nie wpuszcza nikogo do wewnątrz. Nazajutrz zaszedł do niej milicjant. Zagroził wyważeniem drzwi, wtedy kobieta go wpuściła. Rzeczywiście, na stole w jednym z pokoi stała trumienka. Tata powiedział, że leżała w niej mała dziewczynka. Miała ładne ubranie i ręce złożone do modlitwy. Kobieta - okazało się, że to była Niemka - tłumaczyła, że nie stać jej na pogrzeb. Jest sama. Obecność trumienki z dzieckiem pomaga jej przeżyć. Kilkakrotnie próbowano ją zmusić, żeby pochowała dziecko na cmentarzu, ale ona zawsze odkopała truchło. W końcu pochowano małą gdzieś, gdzie jej nie znalazła. I wtedy kobieta spakowała się i poszła na dworzec. To musiało być w 1947 roku. Jeszcze Niemcy w Elblągu byli.

Ten dom długo stał pusty, potem zamieszkali w nim jacyś ludzie z Warszawy.



7. Ulica Tadeusza Kościuszki, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk

Romualda Traugutta

Witold Grodziewicz:

Przy ulicy Traugutta był jedyny czynny młyn wodny. Jeden z kolegów, z którym mieszkałem, był agrotechnikiem. Zajmował się polem, jeździł razem z Niemcami furmanką i do naszego mieszkania przywoził zboże. Potem to się wiozło do młyna. Część zboża zostawiał do dyspozycji magistratu, a część dla siebie. Miał prawo zmilić dla siebie pięćdziesiąt kilogramów.

Ja też woziłem wózkiem to zboże. To, co mogłem, przynosiłem kolegom, z którymi mieszkałem. I jak już miałem mąkę, to zaraz Niemcy zaczęli ujawniać, że mają pochowane jakieś rzeczy i że mogą je wymienić za jedzenie. Tak wymieniłem się na piękny garnitur. Niemcy bardzo cieszyli się, kiedy dostali parę kilo tej mąki i piekli z niej chleb.



8. Ulica Romualda Traugutta. Fot. Czesław Misiuk.

Słoneczna

Helena Stachnowicz:

Słoneczna to był nasz drugi adres w Elblągu. Zamieszkaliśmy na pierwszym piętrze w dwupiętrowej murowance z czerwonej cegły. Wielopokojowe mieszkanie na piętrze było puste, nieumeblowane i zimne. Wprawdzie nietrudno byłoby je umeblować – wokół stało wiele wolnych mieszkań – ale ojciec nie godził się na szaber. W innych mieszkaniach byli jeszcze Niemcy. Czekali na transport do Gdańska. Niestety i na Słonecznej mamie się nie podobało. Wtedy państwo Drozdowiczowie, którzy zdobyli już mieszkanie na ulicy Kościuszki, zaprosili nas tam.



9. Ulica Słoneczna, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk

1 Maja

Helena Grabowska:

W Elblągu zameldowaliśmy się 28 października 1945 roku. Przyjechaliśmy z rodzicami z Bydgoszczy. Pierwszy przyjechał mój ojciec i zaraz ściągnął mamę. Potem rodzice mnie wzięli od babci. Miałam wtedy może dwa lata.

Po wojnie każdy szukał swojego miejsca, nikt nie wiedział, jak to będzie. Rodzice otworzyli zakład, w którym tata produkował mięso, i sklep, gdzie sprzedawała mama. Nie zawsze czuli się bezpiecznie. Grasowały różne bandy. Wieczorem każdy chował się, żeby nosa nie wyściubiać.

Taty sklep mieścił się przy ulicy 1 Maja pomiędzy optykiem a sklepem z materiałami pana Berlińskiego. Ze sklepu taty szły schodki – trzy albo cztery – prowadzące do dużego salonu, w którym najczęściej spędzałam czas. Najbardziej pamiętam, że było tam dużo miejsca i że był ogród. Na ulicę mogłam wychodzić tylko z rodzicami. Dlatego samej ulicy może tak nie pamiętam, ale ta była jak wszystkie ulice wtedy: zniszczona, obskurna, biedna po prostu.

Dzieci było mało. Jeżeli już, to bawiły się w swoich domach, na podwórku, bo rodzice bali się je wypuszczać gdzieś dalej.



10. Ulica 1 Maja. Fot. Archiwum prywatne Tomasza Misiuka

12 Lutego

Helena Grabowska:

Ulica 12 Lutego nazywała się wtedy Halicka. Była wysypana drobno mieloną, czerwoną cegłą. Kilka metrów dalej mieszkała nasza rodzina i znajomi, dlatego właśnie tą ulicą często chodziliśmy.



11. Ulica Halicka, obecna 12 Lutego. Fot. Archiwum Państwowe w Malborku.

plac Słowiański

Eugeniusz Woźniak:

Do Elbląga przybyłem 15 czerwca 1945 roku z grupą pracowników poczty z Inowrocławia.

Urodziłem się w Gnieźnie, ale wychowałem w Inowrocławiu. Po śmierci mamy zajmował się mną starszy brat. W domu, w którym mieszkałem, mieszkał pan, który pracował na poczcie. W rodzinie tego pocztowca był chłopak w moim wieku i to on zaczął opowiadać mi o Elblągu. Kiedy poczta inowrocławska dostała za zadanie zorganizować i uruchomić pocztę w tym mieście, pomyślałem, że co mi szkodzi pojechać, najwyżej wrócę.

Wyobrażałem sobie, że będzie wesoło, bo będą tam moi koledzy. Byłem w takim wieku, że właśnie takie, a nie inne miałem wyobrażenie. Jak przyszliśmy do Elbląga, udaliśmy się w stronę poczty. Pierwsze noce spaliśmy na strychu, okna były powybijane, komary nas cięły. Mimo że przyjechałem z pocztowcami, nie byłem pracownikiem poczty. No i nie miałem co jeść. Ten mój kolega zawsze coś gdzieś załatwił i tę małą, ale zawsze, porcję obiadu mi przyniósł.

Z czasem postarałem się, żeby wpisali mnie na listę jako pracownika i dali jakieś zadanie. Jak już pracowałem, to dostawałem obiad.

Pierwsze zadanie dostałem proste. Brałem udział w porządkowaniu dawnej poczty nr 1 przy placu Słowiańskim. Na parterze wody po kolana, szuflady przez Rosjan powywalane, wszędzie dokumenty. Chłopaki pracujący na poczcie okazali się solidni. Wynieśliśmy kilkanaście worków różnych druków.

Kiedy tę pocztę uruchamiali, nie było nikogo, kto by się na tym trochę znał. Pracowałem tam przez trzy dni w tygodniu jako pracownik biurowy. Jednak wtedy więcej było gapiów, którzy przyszli zobaczyć, jak ta poczta wygląda, niż takich, którzy chcieli wysłać list.

Roznosiłem też listy, a było ich średnio pięć dziennie. Brało się te listy w garść i szło pod wskazany adres.

Muszę się przyznać do jednej sprawy. Kiedy nosiłem te listy, w jednym z mieszkań zobaczyłem pianino. Bardzo mi się ono spodobało. Nie z taką myślą, żeby je spieniężyć czy coś, ale z taką, że warto by takie mieć. Na drugi dzień jak tam poszedłem, to już go nie było. Na samym początku to był taki wyścig, kto pierwszy zdąży wziąć coś dla siebie. I jeden drugiemu robił na złość.

A jaka była frajda, jak można było się już umyć. Jak już pracowałem, to trzeba było się zapisać, żeby móc się wykąpać. Panie dostawały numery parzyste, panowie nieparzyste. I na zmiany tam się chodziło. Trzeba było z czasem dwie-trzy godziny poczekać, żeby móc się wykąpać w łaźni.



12. Plac Słowiański. Fot. Czesław Misiuk.

Eugeniusz Woźniak:

Do Elbląga przyjeżdżało bardzo dużo ludzi ze Wschodu. Pamiętam sytuację, jak na pocztę przysły dwie panie, siostry, i pytały, czy nie ma dla nich jakiejś pracy. Bo też przyjechały bez pieniędzy, bez niczego. Tę starszą panią poczta przyjęła.

Z czasem zrobiłem kurs z telekomunikacji, po którym miałem kilka prac. I co jedna, to była lepsza. Gdzie miałem szukać czegoś innego, jak tu się dobrze zarabiała i miało się jeszcze prywatne roboty? W 1956 roku skończyłem Technikum Łączności w Gdańsku. W latach siedemdziesiątych większość lat byłem kierownikiem centrali automatycznej Elbląg, a ostatnie osiem lat przed emeryturą pracowałem jako inspektor teletechniczny na województwo elbląskie.

Teraz już czuję się elblążaninem.



13. Plac Słowiański, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk

II.

Spacer

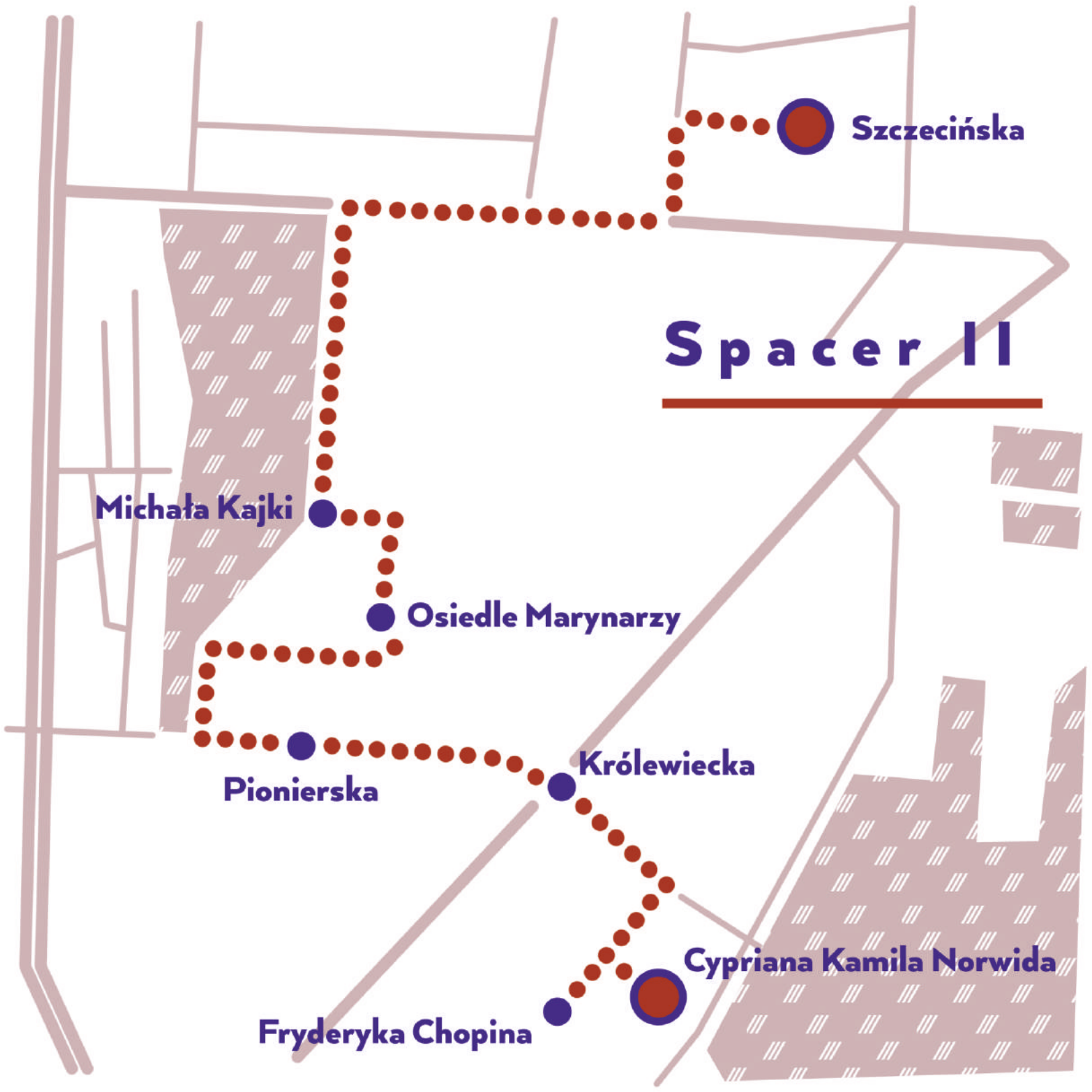
Długość_2,6 km

Czas trwania_32 min

Trasa

- › Cypriana Kamila Norwida
- › Fryderyka Chopina
- › Królewiecka
- › Pionierska
- › Osiedle Marynarzy
- › Michała Kajki
- › Szczecińska





Szczecińska

Spacer II

Michała Kajki

Osiedle Marynarzy

Pionierska

Królewiecka

Fryderyka Chopina

Cypriana Kamila Norwida

Cypriana Kamila Norwida

Szymon Gieryga:

Dziadek nazywał się Jan Gieryga i przyjechał do Elbląga 13 kwietnia 1945 roku z Bydgoszczy z Morską Grupą Operacyjną. Od tego czasu pracował w Zarządzie Miejskim w Elblągu, jednocześnie organizując Milicję Obywatelską. Od dnia przyjazdu mieszkał w domu przy ulicy Norwida 3.

20 września 1945 roku z nieznanych powodów zatrzymali go funkcjonariusze UB. 17 października został osadzony w więzieniu karno-śledczym w Gdańsku. Zatrzymali go, bo – tak opowiadała babcia – rzekomo był podobny do jakiegoś zbrodniarza hitlerowskiego. Z więzienia został zwolniony 16 marca 1946 roku. Wrócił do Elbląga, chcąc na nowo rozpocząć pracę i zamieszkać w posiadany przed osadzeniem lokalu przy Norwida. Ku jego najwyższemu zdziwieniu zastał w nim tych funkcjonariuszy, przez których został zatrzymany.



14. Ulica Cypriana Kamila Norwida. Widok w kierunku Parku Dolinka, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk



15. Ulica Cypriana Kamila Norwida. Widok w kierunku ulicy Chopina, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk

Fryderyka Chopina

Janusz Salmonowicz:

Moja rodzina od setek lat mieszkała na terenach obecnej Litwy. To oczywiście była Polska, ale jak wybuchła wojna, to relacje między Litwinami a Polakami stały się, delikatnie mówiąc, chłodne.

W międzyczasie zmarł mój dziadek, Stanisław Salmonowicz. Został pochowany w Poniewieżu. Sytuacja rodziny była coraz trudniejsza, zaczęła dojrzewać decyzja o powrocie do Polski i w końcu, na początku 1946, rodzina opuściła Litwę. Wiele zaprzyjaźnionych z nami rodzin, decydując się na opuszczenie Litwy, kierowało się do Elbląga. Babcia, mama i ciocia podróżowały przez wiele dni wagonami bydlęcymi, w opłakanych warunkach. Było tak źle, że jeszcze przed polską granicą babcia, Joanna Salmonowicz z Woroniczów, zmarła. Mama z ciocią, by przewieźć ciało babci do Polski, zostawiły cały majątek w formie łąpówki Sowietom - srebra, porcelana, unikatowa trzynastotomowa „Historia Polski w malarstwie”. Siostry wjechały do Polski biedne jak myszy kościelne. Babcia ostatecznie została pochowana na cmentarzu w Bartoszycach.

Dotarli do Elbląga w lutym 1946 roku. Ciocia przed wojną studiowała w Konserwatorium Muzycznym w Wilnie, od razu dostała więc pracę w szkole muzycznej, która mieściła się przy ulicy Chopina 26 w kamienicy, na poddaszu której ciocia dostała służbowe mieszkanie. Można powiedzieć, że to mieszkanie jest w naszej rodzinie do dzisiaj.

Na przełomie 1946 i 1947 roku mama poznała mojego ojca, Stefana Janusza Skrzyszowskiego vel Janusza Paterę. Pochodził z terenów dzisiejszej Ukrainy. Z zawodu był mechanikiem, a podczas wojny żołnierzem Armii Krajowej. Dlatego właśnie po wojnie używał nazwiska, które wcześniej było jego pseudonimem - „Patera”. Na początku lat 50. ojciec zaangażował się w działalność organizacji podziemnej Wolność i Niezawisłość. Ówczesne władze (Urząd Bezpieczeństwa Państwowego) kontrolowały tzw. V Komendę WiN-u. Ofiarą tej prowokacji padł między innymi mój ojciec. Jesienią 1951 roku, razem z Dionizym Sosnowskim, zostali przetrzuceni do Niemiec, gdzie ukończyli kurs radiotelegrafistów z elementami dywersji. Na początku listopada 1952 roku wrócili do Polski i prawie natychmiast zostali aresztowani. Wkrótce po tym zatrzymano również moją matkę, Wandę Salmonowicz, która była już wówczas w ciąży. Siedziała w więzieniu przy Okopowej w Gdańsku, później w Grudziądzu, a na końcu w Fordonie. Jej stan nie przeszkadzał władzom, by się nad nią znęcać psychicznie i fizycznie. Mama została skazana na dziewięć lat więzienia.

Ojciec już nigdy więcej z matką się nie zobaczył. Dla niej to był trudny okres. Wiedziała, że z ojcem coś się dzieje, wozili ją do Warszawy na widzenia, do których nie dochodziło. Wozili ją nawet po jego rozstrzelaniu.



16. Ulica Fryderyka Chopina, rok 2011. Fot. Michał Kalbarczyk

Fryderyka Chopina

Janusz Salmonowicz:

12 sierpnia 1953 roku w Gdańsku w więzieniu na Okopowej, urodziłem się ja. Po roku z więzienia w Fordonie odebrała mnie ciocia i to ona zajęła się moim wychowaniem. W 1956 roku mamie skrócono wyrok w wyniku amnestii. Mama w pewien sposób świadomie uczestniczyła w ówczesnym życiu społecznym i była uległa wobec władzy, aby oszczędzić mi upokorzeń i perturbacji życiowych. Mimo tych wszystkich przykrych sytuacji nasza rodzina zawsze była silnie związana z Elblągiem i ja czuję się elblążaninem.

Ojciec i Sosnowski są uznawani za ostatnich polskich cichociemnych. Obaj otrzymali karę śmierci, obaj nie wystąpili o prawo łaski. Kilka lat temu Instytut Pamięci Narodowej zawiadomił mnie, że znaleziono szczątki ojca na słynnej „Łączce” w Warszawie na Powązkach. W Pałacu Prezydenckim z rąk szefa IPN-u odebrałem akt identyfikacyjny. 22 września 2019 roku odbył się uroczysty państwowy pogrzeb zidentyfikowanych ofiar reżimu komunistycznego, których szczątki zostały odnalezione podczas prac archeologicznych Instytutu Pamięci Narodowej w kwaterze Ł i ŁII Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie. Miejscem złożenia szczątków jest Panteon – Mauzoleum Żołnierzy Wyklętych – Niezłomnych na Łączce. Wśród chowanych tego dnia był także mój Ojciec – Stefan Skrzyszowski vel Janusz Patera.



17. Ulica Fryderyka Chopina, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk

Królewiecka

Witold Grodziewicz:

Jak przyszliśmy do Elbląga, był tu ktoś, kto informował przyjezdnych, gdzie mają iść. Powiedział nam, żebyśmy szli wzdłuż torów. I myśmy tak szli torami, ulicą Królewiecką, aż doszliśmy do obecnej szkoły gastronomicznej (przyp. red. Zespół Szkół Gospodarczych). Tam mieścił się magistrat. Trzeba było się zameldować i dostać przydział mieszkania. Moglibyśmy sami któreś zająć, bo wolne były prawie wszystkie. No, ale trzeba było oficjalnie.

Stanisława Mazurkiewicz:

Królewiecka to było centrum handlowe Elbląga. Po jednej i drugiej stronie tejże ulicy na stołkach, taboretach i ziemi leżały różne przedmioty, które szabrownicy wynosili z opuszczonych poniemieckich domów i mieszkań. Sprzedawali je bądź wywozili do centralnej Polski. Rozrywką był patefon z dużą tubą, z którego dochodziły różne melodie i piosenki przedwojennej Polski. Ulicą tą codziennie szłam do pracy. Cieszył mnie widok ludzi i melodie znanych mi piosenek. Innych przyjemności dla duszy w tym czasie nie było. Dom, praca, a po pracy łopata do ręki i szło się odgruzowywać zniszczone wojną miasto. Towarzyszyła nam niepewność dnia codziennego. Zdarzało się, że żołnierze radzieccy zaczepiali polskie dziewczyny na ulicy. Bałam się tych zaczepiek.

Bogdan Medyński:

Z rodzicami wstępowaliśmy do restauracji pana Olszewskiego, która mieściła się przy ulicy Królewieckiej. Jadłem tam jajecznicę z podsmażoną i podaną na osobnej patelni kiełbasą. To był taki McDonald` s moich czasów.

Helena Stachnowicz:

W liceum ogólnokształcącym przy Królewieckiej geografii uczył nas pan Sywula. Poprosił nas, żebyśmy pochodzili po poniemieckich mieszkaniach i poprzynosili z nich atlasy. Albo cokolwiek, co przyda się na geografę. Znalazłam globus i przyniosłam go do szkoły. Pan Sywula bardzo się cieszył, chociaż napisy na globusie były po niemiecku.



18. Ulica Królewiecka, rok 2019. Fot. Krzysztof Prochera

Pionierska

Krystyna Trudnowska:

Jestem córką Ryszarda Mittaga, pioniera Elbląga. Mój tato przyjechał do naszego miasta już w marcu 1945 roku na polecenie pełnomocnika rządu RP. Razem z majorem Mieczysławem Borowieckim mieli za zadanie zorganizowanie pierwszych władz miejskich. Major Borowiecki był Inspektorem Okręgu Zachodniego Prus Wschodnich. Ojciec miał wieloletnie, przedwojenne doświadczenie jako urzędnik państwowy. Pracował między innymi w Ministerstwie Skarbu w Warszawie, gdzie był referendarzem. Po wojnie jako podoficer wojska polskiego został skierowany na Prusy Wschodnie. Do października 1945 roku pełnił w Elblągu funkcję wiceprezydenta. Potem pracował w PSS Społem, a od 1954 roku do swojej śmierci pracował jako kierownik zespołu adwokackiego w Elblągu.

Przy ulicy Pionierskiej wypatrzył mieszkanie, które wydało mu się piękne i gustownie umeblowane. Do dzisiaj mam w tym mieszkaniu rzeczy, które tata w nim zastał. Szafa, przedwojenna biblioteczka, obraz i biurko, przy którym pracował. To zawsze była dusza naszego domu. Jak tylko się zagospodarował, zaprosił do niego moją mamę, która pracowała wówczas w Olsztynie – byli narzeczeństwem. W listach tata pisał do mamy, że ma tu śliczne mieszkanie, że mogliby rodzinę założyć. Kiedy wojna się skończyła, moi rodzice byli już po czterdziestce. Bardzo pragnęli normalnego, rodzinnego życia, dlatego szybko się pobrali. Na początku 1947 roku wzięli ślub, w 1948 roku urodziła się moja siostra, potem ja. Mama miała 46 lat, kiedy mnie urodziła. Los pokazał, że mieli niewiele czasu, żeby nacieszyć się spokojem i pokojem. Tata po różnych powojennych przejściach dużo chorował. Życie rodzinne przebiegało w rytmie jego pobytów w szpitalu. Nie mieliśmy świadomości, że to wszystko tak szybko się skończy. Miałam tylko dziewięć lat, kiedy umarł.

Niemniej pierwsze lata mojego dzieciństwa uważam za szczęśliwe. Na ulicy Pionierskiej, tak jak w całym kraju, królował wyż demograficzny. Podwórka tętniły życiem. Puszki, kije, kółka od rowerów to były nasze zabawki. Cały czas bawiliśmy się w wojnę.

Marzeniem mojego dzieciństwa, które nigdy nie zostało spełnione, było mieć „śpiącą” lalkę. Taką z mrugającymi oczami. Chyba nie było na nią stać rodziców. Wszyscy wtedy żyliśmy skromnie.



19. Ulica Pionierska, widok w kierunku ulicy Płk. Stanisława Dąbka. Fot. Archiwum prywatne Tomasza Misiuka

Pionierska

Krystyna Trudnowska:

Prawie wszyscy nasi sąsiedzi to byli pionierzy. Choć trzeba przyznać, że nie zawsze wiedziało się, kto mieszka obok. Nieraz dopiero po latach potrafiliśmy rozmawiać o swojej przedwojennej przeszłości czy wojennych doświadczeniach. Do dzisiaj pamiętam rozmowy z moją sąsiadką, panią Anią Medyńską, która opowiadała o swoich bardzo ciężkich przeżyciach w czasie powstania warszawskiego, gdy z małym dzieckiem na rękach ukrywała się w piwnicach bombardowanej stolicy. Zawsze tym opowieściom towarzyszyły łzy. Takich warszawiaków w Elblągu jest wielu. Tak jak moja mama, która przed wojną mieszkała w kamienicy przy placu Zamkowym w Warszawie. Na przedwojennych pocztówkach zawsze pokazywała okno swojego mieszkania przy kolumnie Zygmunta. Po wojnie nie chciała jechać do Warszawy. Uważała, że stolica nigdy nie będzie tak piękna, tak odbudowana, jak na to zasługiwała. To już było inne miasto. Wyrósł w nim Pałac Kultury i Nauki, na który nie mogła patrzeć. Teraz Warszawa jest piękna, ja do niej chętnie jeżdżę. Zastanawiam się czasami, czy dzisiejsza stolica podobałaby się mojej mamie.

Przy naszej ulicy mieszkali również autochtoni, czyli niemieccy mieszkańcy przedwojennego Elbląga. Z rodziną państwa Limpergów moi rodzice zaprzyjaźnili się na tyle, że pani Klara Limperg była chrzestną matką mojej siostry. Bardzo wdzięcznie ich wspominam. Ich dobroć, ich serdeczność. I tacy byliśmy w większości.

Nasza ulica przez wiele lat była zaniedbana. Jeszcze w latach sześćdziesiątych mury miały ślady po kulach. Jako dzieci celowaliśmy w nie. To była fajna zabawa. Dopiero gdy w 2000 roku jako lokatorzy mogliśmy wykupić te mieszkania, zaczęły się remonty. W tej chwili każdy dom jest już nawet nie remontowany, tylko restaurowany.

Urodziłam się przy ulicy Pionierskiej i mieszkam tu do dziś. Tu jest mój dom, mój ogródek. Pionierska to moje miejsce na ziemi.



20. Ulica Pionierska z widokiem na jedyne w swoim rodzaju balkony. Rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk

Osiedle Marynarzy

Witold Grodziewicz:

Kiedy przyjechałem do Elbląga, miałem dziewiętnaście lat. Jeszcze dużo Niemców wtedy było. Oni nie mieli żadnych praw, każdy nimi gardził, poniewierał. Coś okropnego. Ci, co przyjeżdżali tutaj, byli z Warszawy, Wilna, Wołynia, zewsząd.

Pracę zaproponował mi Michał Grzesiak, który był dla mnie jak dziadek. Powiedział, że jest taka organizacja, jak straż portowa. I że tam nawet raz dziennie wydają obiady, więc nie będziemy głodni. Poszliśmy tam, zarejestrowali nas, wydali zaświadczenie, że możemy nosić broń.

Naszym zadaniem było pilnowanie tego, czego nie zdążyli wyszabrować Rusczy i nasi – warszawiacy, którzy szabrowali na handel. Straż portowa mieściła się najpierw na Osiedlu Marynarzy. Tam osiedlali się pionierzy, którzy pracowali w tej straży. Tam też była nasza stołówka, gdzie raz dziennie wydawali posiłek. Gotowała nam pewna starsza pani, była wspaniałą kucharką. Obiad był z jednego dania, ale z mięsem. A ta nazwa Osiedle Marynarzy powstała z tego, że myśmy – straż portowa – tam byli.

Raz zdarzyła się historia taka, że w którejś piwnicy po knajpie na Starym Mieście wyszabrowaliśmy beczkę pieprzu. A pieprz był bardzo drogi i Rusczy go potrzebowali. I myśmy od nich za ten pieprz mieli między innymi mięso i mąkę.

Potem naszą komendę przenieśli nad kanał (przyp. red. potocznie, ale błędnie o rzece Elbląg). Rusczy barkami wywozili, co tylko się dało: pianina, maszyny z Zamechu. Dopiero my – jako straż portowa – nie pozwoliliśmy tego wywozić. Mogli zabrać tylko to, co zgromadzili w swojej jednostce wojskowej. Jak później się dowiedzieliśmy, nie zabezpieczyli dobrze tych rzeczy, więc każdy deszcz na to padał. Wszystko przerdzewiało.

Jesienią 1945 roku uruchomiona została elektrownia i kino „Bałtyk”. Zaczynały działać sklepy. Można było coś w nich kupić. Zaczęło robić się normalnie. Jak już tak dotrwałem do stycznia 1946 roku, przestało mi się podobać w straży portowej. Zamech nie był jeszcze czynny. Działało przedsiębiorstwo rozbiórkowe, które odgruzowywało Stare Miasto na odbudowę Warszawy. Rozbierane były też piękne zabytki, takie, które wystarczyło wyremontować. Pracowałem tam za deputat w postaci żywnościowej – chleb, coś do chleba, np. kawałek słoniny. Kiedy pokazała się złotówka, zaczęli płacić złotówkami. Pracowałem tam do czasu, aż w 1947 roku zabrali mnie do Bydgoszczy do wojska. Wzięli mnie tam, bo potrzebowali obsługi, zwłaszcza takiej, która zna język rosyjski.

Elbląg mi się podobał. Bażantarnia blisko, bardzo mi się podobała Muszla Koncertowa. Blisko Bałtyk. Po co jechać gdzieś indziej?



21. Morska Grupa Operacyjna na Osiedlu Marynarzy. Wśród członków grupy stoi Witold Grodziewicz (drugi od prawej). Fot. Autor nieznan

Osiedle Marynarzy

Witold Grodziewicz:

Rzadko wspominał tamte czasy. I tych Ruskich, i to, co oni z tymi Niemcami wyprawiali. Było bardzo ciężko. Trzeba było szukać jedzenia. Poszabrowało się ziemniaki po piwnicach i co dzień była kartoflanka.

Wszystko poukładało się dlatego, że było współzycie między ludźmi. Jeden człowiek pomagał drugiemu.

Paweł Sikorski:

Obserwowałem przekrój ludzi, którzy tu się osiedlili. Podzieliłbym ich na kilka grup. Pierwsza ze Wschodu i innych stron. Przyjechali na stałe, osiedlili się i wielu tu mieszka. Druga to uciekinierzy przed aresztowaniem ze strony Urzędu Bezpieczeństwa (siebie zaliczam do takich - byłem w Armii Krajowej). Kolejna to ci, którzy porzucili swoje rodziny - żony lub mężów i tu potworzyli nowe związki oraz ci, którzy przyjechali tu ze zmienionymi nazwiskami, uciekając przed sprawiedliwością. Z czasem wielu odpłynęło, a ci przyzwoici zostali.

Pierwszą noc po przyjeździe do Elbląga spędziłem przy ulicy Hetmańskiej, w siedzibie przychodni, która miała wybite okna. Rano ze skierowaniem do pracy zgłosiłem się do Starostwa Powiatowego w Elblągu przy ul. Pionierskiej nr 8. Przyjęto mnie na stanowisko kierownika rachuby wydziału na powiat Elbląg. W nowej placówce pracy było niewiele. Zespół ludzi, który tu zastałem, bardzo młody, miły, przeważnie kobiety, wolne lub rozwiedzione, zbieranina z całej Polski. Zarobki: 500 złotych miesięcznie, co dawało 2 kg słoniny na wolnym rynku. Władze dbały o nas. Czynna była stołówka, co dzień kasza, czarna kawa, konina i ryba.

Przez pierwsze miesiące w Elblągu mieszkalem przy ulicy Brzeskiej, u syna sołtysa gminy, w której pracowałem do listopada 1939. W wolnych chwilach wędrowaliśmy po Elblągu, oglądaliśmy opuszczone domy i ładowaliśmy do teczki, co znalazło się użytecznego. Byłem ciekawy miasta. Stare Miasto było spalone. Były ślady wywozu maszyn ze stoczni Schichaua. Długo było widać ślady zamurowanej ściany, przez którą wywożono maszyny. Elbląg był bardzo bogatym miastem. Nic dziwnego, że od początku co dzień pociągi przywoziły szabrowników, którzy wywozili z tego miasta masy dobra. Niebezpieczne były wędrowki na ulicach wieczorami. Co rano znajdowało się na ulicach trupy zamordowanych ludzi. Rabunki i gwałty były na porządku dziennym.

Oglądałem różne dzielnice miasta. Z miejsca poszedłem na sąsiednią ulicę - Osiedle Marynarzy. Upodobałem sobie to osiedle i otrzymałem od Urzędu Miasta przydział na domek nr 14. Przygotowałem go i tu mieszkam od października 1945. W 1960 roku kupiliśmy go z żoną. Tu było moje wesele, tu doczekałem się dzieci.



Elbing - Erich-Koch-Siedlung

22. Osiedle Marynarzy tuż przed wybuchem II wojny światowej. Fot. Autor nieznany.

Osiedle Marynarzy

Paweł Sikorski:

Wydarzeniem było uruchomienie poczty. Można było już wysłać listy i otrzymywać je. Na terenie miasta co raz otwierano nowe knajpki i piło się tylko samogony.

Pokochałem Elbląg. Nigdy nie żałowałem, że tu się osiedliłem. Dzień przyjazdu - 21 lipca - obchodzę jako szczęśliwą datę dla mnie. Staram się ten dzień odpowiednio uczcić w gronie znajomych i przyjaciół. Stałem się wielkim patriotą Elbląga. Zawsze powtarzam - jak dobrze, że tu jestem. Zawsze miałem pracę i dobre relacje w rodzinie i w pracy, a pracowałem w Miejskim Przedsiębiorstwie Oczyszczania w Elblągu jako główny księgowy.



23 Osiedle Marynarzy, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk

Michała Kajki

Hubert Grabowski:

Do II wojny światowej rodzice mieszkali w Gdyni - Orłowie. Po zajęciu Gdyni przez Niemców ojciec przyjechał do Elbląga. Po jakimś czasie dołączyła do niego mama z nami, tj. ze mną i z dwójką moich braci. Mieszkaliśmy przy obecnej ulicy Pułkownika Stanisława Dąbka. Ojciec pracował jako furman w przedsiębiorstwie przewozowym konnym, a mama jako gospodyni. Potem ojciec wyjechał na wojnę, wysłali go do Austrii. W tym czasie mama była sama z nami.

Po wojnie przeprowadziliśmy się na działki za ulicą Pawią, tam były takie małe domki. Mama bała się, bo Rosjanie gwałcili młode kobiety. To było bardzo daleko od miasta, nie było sklepów. Nas już wtedy czwórka w domu, a mama sama, bo ojciec jeszcze nie wrócił z wojny. Jak już wszystko tu ucichło, to przeprowadziliśmy się do willi przy ulicy Kajki, ale jak już zaczynało powstawać miasto, to nas z tej willi wysiedlili i zamieszkaliśmy przy ulicy Robotniczej 14. Myśmy byli, jak to się mówi, za niscy, żeby mieszkać w willach.

Ojciec z wojny wracał dwa miesiące. To był chyba lipiec, jak przyjechał. Szedł z Austrii przez Czechosłowację do Polski. Do Elbląga przyjechał pociągiem towarowym. Mówił, że więcej stali tym pociągiem, jak jechali.

Na początku po wojnie ojciec pracował na kolei jako palacz. Jak już było można, załapał się do pracy w rybołówstwie i pracował jako rybak na Zalewie Wiślanym. Ojciec tęsknił do Gdyni, bo pamiętam, że bardzo często tam jeździliśmy.



24. Ulica Michała Kajki, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk

Jerzy Kania:

Do Elbląga przyjechałem 13 lipca 1945 roku, pierwszym transportem z Warszawy. Podjąłem pracę w Zarządzie Dróg Wodnych w Elblągu. Pracowałem przy organizacji zakładu oraz wydobywaniu i remontowaniu zatopionych wraków.

Moja historia jest taka, że do szesnastego roku życia mieszkałem z rodzicami. W 1941 roku zostałem złapany przez gestapo i wywieziony do Niemiec, gdzie spędziłem cztery lata.

Po ukończeniu wojny wróciłem do Polski i rozpocząłem poszukiwanie rodziców, którzy z powodu zniszczenia Warszawy zamieszkali u rodziny na wsi. Nie miałem własnego mieszkania, dlatego udałem się do Mińska Mazowieckiego w celu uzyskania pracy i mieszkania na ziemiach zachodnich. Powiadomiono mnie, że są transporty. O tym fakcie poinformowałem całą rodzinę i wsiedliśmy do transportu, który w czerwcu wyruszył do Olsztyna. Podróż trwała ponad dwa tygodnie. Zamiast jechać do Olsztyna transport został skierowany do Elbląga.

Zamieszkaliśmy przy ulicy Królewieckiej w obecnej szkole gastronomicznej (przyp. red. Zespół Szkół Gospodarczych).

Początkowo było bardzo źle. Bieda, brak jakiegokolwiek sklepu czy żywności. W Elblągu było jeszcze dużo Niemców i ruskiego wojska, tak że strach było samotnie gdzieś zamieszkać.

Po jakimś czasie dostaliśmy domek przy ulicy Szczecińskiej. Miasto zasiedlali całymi ulicami, żeby było większe skupienie Polaków.



25. Ulica Szczecińska, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk

III.

Spacer

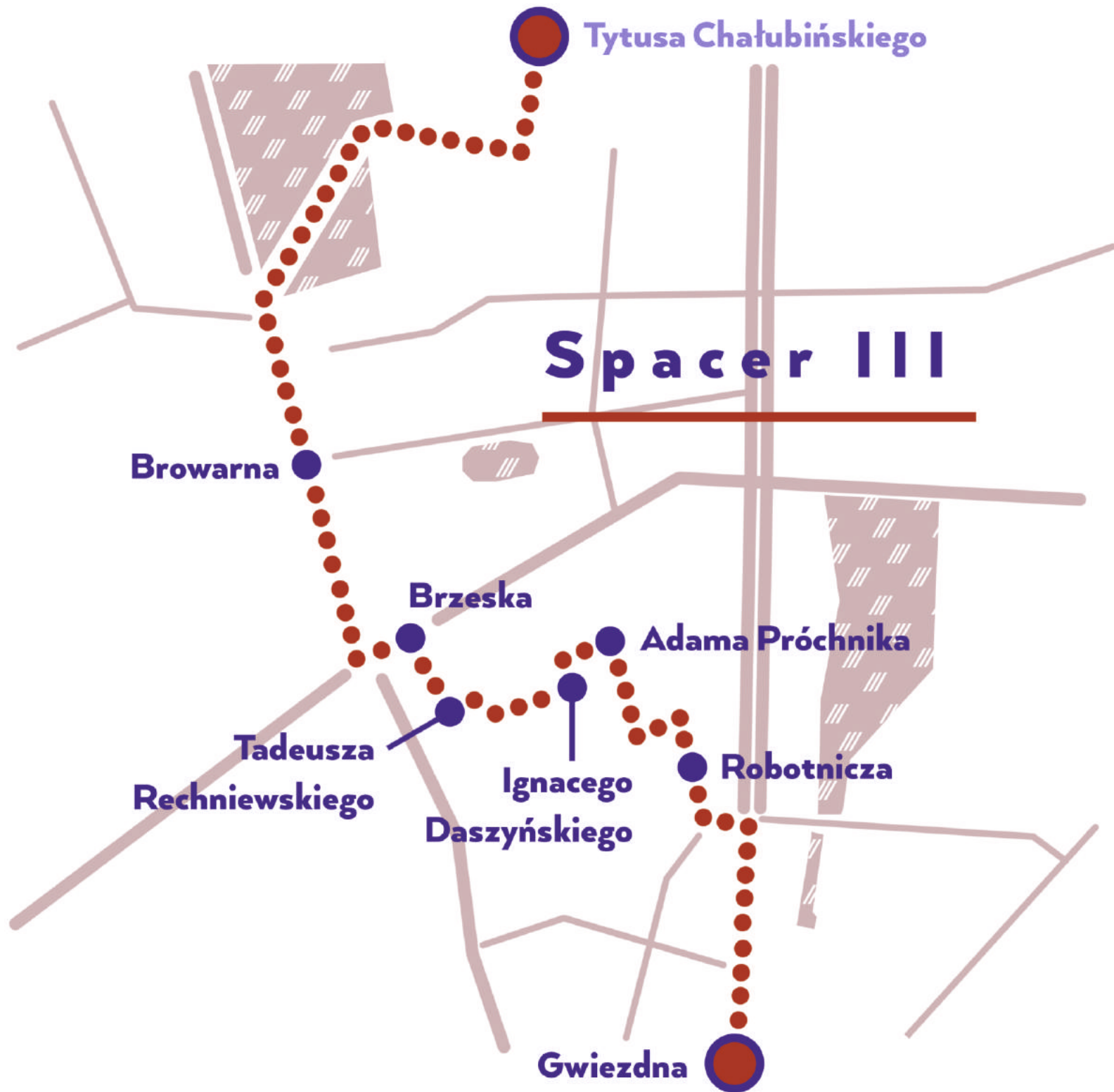
Długość_3,6 km

Czas trwania_45 min

Trasa

- › Tytusa Chałubińskiego
- › Browarna
- › Brzeska
- › Tadeusza Rechniewskiego
- › Ignacego Daszyńskiego
- › Adama Próchnika
- › Robotnicza
- › Gwiazdna





Tytusa Chałubińskiego

Helena Stachnowicz:

Kiedy weszliśmy do mieszkania przy Chałubińskiego, na kuchni stała jeszcze ciepła zupa. Smakowała jak grochówka. Spróbowałam jej trochę, wtedy mama na mnie krzyczała, że się otruję. Ale spróbowałam i była dobra.

W ogóle całe mieszkanie było takie, jakby ktoś niedawno z niego wyszedł. Przy maszynie w kuchni leżała nieskończona sukienka i mnóstwo krawieckich pism. Podejrzewam, że poprzedni mieszkańcy krótko przed naszym przyjściem poszli na transport.

Ludzie, którzy mieszkali w tym mieszkaniu przed nami, też byli biedni. W piwnicy został hebel, strug i różne narzędzia. Widocznie mieszkający tu mężczyzna był stolarzem, kobieta krawcową. Chyba to byli dobrzy ludzie, bo zostawili tę sukienkę w kuchni i ładnie ułożone igły. Mogli zniszczyć, wyrzucić, a zostawili.

Szkoda mi było tych Niemców, którzy wyjeżdżali. Jedna z sąsiadek — Niemka — polubiła mnie tak bardzo, że chciała mi dawać różne rzeczy ze swojego mieszkania, ale ja nie brałam. Uważałam, że to jest jej. Tylko jak wyjeżdżała, na pożegnanie dała mi sukienkę. Pamiętam, taką czerwoną w kwiatki.

Ten, który nas sprowadził do Elbląga, opowiadał o pięknych domach jednorodzinnych, które nie są zniszczone. Nas zachęciło to, że znowu będziemy mieli swój domek z ogrodem.

Kiedy przyjechaliśmy do Elbląga, pracownik PUR-u pokazał nam kilka mieszkań. Rodzice uwielbiali ogródek, więc urzędnik zaprowadził nas na dzisiejszą Zawadę i tam dostaliśmy domek jednorodzinny z ogrodem przy ulicy Chałubińskiego. Ojcu ten domek przypominał nasz dom ze Stoczka Łukowskiego, skąd przyjechaliśmy. Niepokoїła tylko bliskość lasu i niezamieszkałe sąsiednie domy, ale łudziliśmy się, że ta sytuacja wkrótce się zmieni, bo codziennie przybywały tłumy ludzi. Mama bardzo cieszyła się z tego miejsca, ale do czasu, bo szybko zaczęły się koszmary.

Niektórzy nie szukali mieszkań, interesowały ich rzeczy, które mogli wyszabrować i wywieźć do swoich domów w głębi Polski. Trzeba było pilnować, bo potrafili ukraść coś naszego. Chałubińskiego okazała się niebezpieczna i z innego powodu: nocą wychodzili z lasu uzbrojeni niemieccy żołnierze, podchodzili pod dom i żądali cywilnych ubrań. Ojciec ich mundury i broń zakopywał w ogródku.



26. Ulica Tytusa Chałubińskiego już nie istnieje. Obecnie jest to ślepa uliczka od ulicy Podgórznej w kierunku Kasprzaka, wzdłuż parkanu cmentarza przy kościele Świętego Wojciecha. Fot. Archiwum prywatne Violety Maischyk

Tytusa Chałubińskiego

Helena Stachnowicz:

W dzień było jeszcze gorzej, bo przychodzili umundurowani Rosjanie. Chcieli jeść i pytali, czy gdzieś tu są „dziewoczki”. Któregoś razu jak przyszli do nas, jeden z nich klepnął mamę w tyłek. Ojciec się zdenerwował, powiedział, że tak nie wolno, że w Polsce nie ma takiego zwyczaju. Mama wyszła do drugiego pokoju i upchnęła nas pod łóżkiem. Byłam ja i siostry: Janeczka oraz Terenia. Wszystkie trzy schowałyśmy się pod łóżkiem i ze strachem patrzyłyśmy, co będzie dalej. Na szczęście oni uwierzyli, że nie ma dziewczyn i poszli. Z tym że matka od tej chwili nie chciała tam mieszkać.

Dom przy Chałubińskiego był ładny. Ogród, sad, a w sadzie mnóstwo owocowych drzew. Polacy organizowali się w grupy, pomagali sobie wzajemnie, ale mama bała się o siebie i o nas i wymogła na ojcu zmianę mieszkania. Potem już nigdy nie byłam w tym domu.



27. Tędy przebiegała ulica Tytusa Chałubińskiego, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk

Browarna

Helena Stachnowicz:

Jak przyjechaliśmy do Elbląga, to po mieście oprowadzała nas milicja z biało-czerwonymi opaskami. Mówili, gdzie nie chodzić, na przykład na dworzec koło browaru, bo tam zbierało się podejrzane towarzystwo.

Witold Grodziewicz:

Jesienią 1945 roku został uruchomiony browar. Po Niemcach zostały zapasy i z tego ruszyła pierwsza powojenna produkcja.

Eugenia Paul:

Do Elbląga przyjechałam w czerwcu 1946 roku ze swoim ojcem z miejscowości Sierpowo pod Poznaniem. Miałam wtedy niecałe dziewiętnaście lat. Dlaczego Elbląg? Dlatego, że tutaj przeprowadziła się nasza dalsza rodzina. Wujek i ojciec byli nauczycielami, a zarobki nauczycielskie w naszych rodzinnych stronach zaraz po wojnie były marne. Poprzez listy, które ojciec wymieniał z wujostwem, dowiedzieliśmy się, że tu jest lepszy zarobek, że można wyszukać mieszkanie, że rodzina może funkcjonować lepiej. Tu zarobki były wyższe, dlatego że chciano, żeby te poniemieckie ziemie zostały od razu zagospodarowane.

Po przyjeździe razem z ojcem rozpoczęliśmy pracę w browarze. Ojciec, nauczyciel, pracował jako księgowy, a ja jako młoda dziewczyna niemająca żadnego wykształcenia, zostałam przyjęta na maszynistkę w dziale handlowym. Po roku zostałam sekretarką u dyrektora naczelnego. W browarze pracowałam cztery lata. Do czasu, kiedy wyszłam za mąż i zaszłam w ciążę.

Nasza rodzina była dość duża – rodzice i czwórka dzieci. Kiedy ojciec znalazł mieszkanie i wyremontował je na tyle, że dało się mieszkać, wtedy przyjechała mama z rodzeństwem.

Elbląg to był dla nas inny świat. Trudno też było nam zintegrować się z napływającymi tutaj przybyszami ze Wschodu. Oni mieli inny sposób patrzenia na życie, inne obyczaje. Najbardziej mi się nie podobał senny klimat tego miasta. Zawsze mi się wydawało, że chodzę tutaj jak we śnie. Lecz nie ma co się dziwić, że człowiekowi Elbląg się nie podobał i to, że się tutaj przybyło. Przecież tu wszystko było zrujnowane. Do tego różne napady, jeszcze zarywające się domy. Nic nie funkcjonowało tak, jak byśmy sobie wyobrażali. Mówię to z perspektywy młodej wówczas dziewczyny, bo ogólnie ludzie mieli inne podejście. Polacy byli zadowoleni, że bomby na głowę nie lecą, że to już jest koniec wojny i że życie pomału wraca do normy.



28. Ulica Browarna vis-à-vis niefunkcjonującego już dworca Elbląg-Zdrój. Fot. Archiwum prywatne Juliusza Marka

Browarna

Eugenia Paul:

Kolejno otwierały się różne sklepy. Na samym początku nie było jeszcze dostaw, jedynie przesyłki paczek z USA. Nie wiem do końca, jak to funkcjonowało, ale w sklepie wydzielali, komu ile sprzedać z tych paczek. Do zakładów pracy też przychodziły paczki z zagranicy. To były bardzo duże przesyłki z pościelą czy z ubraniami. Pamiętam taki moment, jak do browaru przyszła wielka paczka i rozdzielali ją między pracowników. Można było przyjść i wybrać, komu co bardzo potrzeba. W tej paczce był kawałeczek kolorowego materiału w kratę. Bardzo mi się on spodobał i pomyślałam o tym, że jak nikt tego nie weźmie, to ja powiem, że go chcę. Miałam szczęście. Ten kawałek materiału został i uszyłam sobie z niego sukienkę. Nawet ładna wyszła.

Niemniej to życie powojenne było takie ograniczone we wszystkim. Nigdy wcześniej, nawet podczas okupacji, nie odczułam takiego głodu, jak zaraz po wojnie. Na Ziemiach Odzyskanych ten czas po wojnie był bardzo trudny. Wszystko trzeba było tworzyć od podstaw.



29. Ulica Browarna, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk

Brzeska

Eugenia Paul:

Kiedy przyszlismy, mieszkania przy Brzeskiej w naszym ciagu byly cale. Niektore jedynie nie mialy szyb czy zyrandoli. W Elblagu staly wprawdzie mieszkania w pelni umeblowane, ale rodzicom to nie odpowiadalo, zeby wchodzic do miejsca, ktore jest wyposazone. Wydawalo sie, ze to „nie nasze”. Ojciec wyszukal mieszkanie, ktore nie mialo okien ani niczego. Byly w nim cztery pokoje. Wybralismy Brzeska, bo byla blisko browaru, gdzie z ojcem pracowalismy. Zamieszkalismy przy Brzeskiej 23 mieszkania 6.

W mojej klatce mieszkali sasiedzi z roznych stron: Orlikowscy z Pomorza, Odyowie. Najwiecej bylo przesiedlencow ze Wschodu. Byli i tacy, ktorzy w mieszkaniach trzymali zwierzeta, na przyklad swinie czy kury.

Bylismy zadowoleni z tego mieszkania przy Brzeskiej o tyle, ze bylo ono czteropokojowe i nie musieliśmy się gnieść. Przyjechalismy wtedy nie tylko z tobołkami, ale tez z czescia własnych mebli. Przed wojna mieliśmy pięć pokoi i z tamtego domu wzielismy czesc mebli. Z rodzinnych stron przywiezliśmy pianino. Moja mama udzielala lekcji gry na nim. Takze nasi sasiedzi przysylali do mamy swoje dzieci na nauke.

Na poczatku, jak tu przyjechalismy, to czlowiek bal sie ruszac, szczegolnie wieczorem. Dlugo funkcjonowaly opowieści o rozrobach, jakie dzialy sie za kanalem (przyp. red. potocznie, ale błędnie o rzece Elbląg). Park Kajki tez byl okupowany i nie chodzilo sie do niego na poczatku. Najgorzej, ze napadali tez Polacy.

Duzo mieszkani stalo pustych, korzystali z tego szabrownicy. Ludzie tez chodzili po tych mieszkaniach i spośród tego, co zostawili Niemcy, brali to, co im bylo potrzebne. Później bylo tak, ze miasto zbieralo rzeczy, ktore pozostaly po Niemcach, i mozna bylo je od miasta za jakies symboliczne pieniadze kupic.

Helena Stachnowicz:

Przy ulicy Brzeskiej zamieszkalam okolo 1953 roku, jak juz byla męzatka i mialam dwójke dzieci. Wtedy niektore mieszkania byly juz uszykowane, a inne jeszcze dziurawe. Nasze mieszkanie przy Brzeskiej 11 dostalismy swiezo odbudowane. Sasiedzi opowiadali, ze wczesniej jeden z pokoi w tym mieszkaniu mial zawalony sufit. Ze do srodka wpadla bomba i znalezli tam broń i zabitego Niemca.



30. Ulica Brzeska w latach 50. XX wieku. Rodzeństwo Tydrychów (od lewej): Ireneusz, Grażyna i Romuald. Fot. Archiwum prywatne Grażyny Jaskuły



31. Ulica Brzeska w latach 50. XX wieku. Od lewej: Aleksandra Kasińska i Helena Stachnowicz. Fot. Archiwum prywatne Grażyny Jaskuły



32. Ulica Brzeska w końcówce lat 50. XX wieku. Od lewej: Aleksandra Kasińska i Grażyna Jaskuła. Fot. Archiwum prywatne Grażyny Jaskuły



33. Ulica Brzeska w latach 50. XX wieku. Od góry: Helena Stachnowicz z dziećmi: Grażyna (z prawej), Jadwiga (w wózku), Ireneusz (z lewej), Romuald (na kolanach). Fot. Archiwum prywatne Grażyny Jaskuły

Brzeska

Helena Stachnowicz:

Naprzeciw nas mieszkało małżeństwo. On był marynarzem, ona zwykłą kobietą. Pamiętam dziwne wydarzenie. Mieli jednego synka, bardzo dobrze żyli, ale pewnego razu on przyprowadził kobietę. Mówił, że to jego żona i że przyjechała z Rosji. Znalazła ich i przysłała do niego tutaj, żeby zamieszkać. I te dwie kobiety-żony zamieszkały razem i o dziwo zgodziły się ze sobą. Dwie żony razem i chodziły razem na zakupy, na rynek i dobrze żyły.

Obok mieszkał pan Pieprzyk. Jego córka w ogólniaku uczyła niemieckiego, a on uczył moją córkę gry na skrzypcach. Poza tym tutaj była świetlica, do której chodziły dzieci. Obok też mieszkali państwo Niewczasowie. On pracował w browarze i przynosił piwo, słodkie, dobre, w wielkich butelkach kablem zapinanych. Pani Niewczasowa zapraszała nas na ciasto, a piekła pyszne. Mieli kilkoro dzieci.



34. Ulica Brzeska, rok 2019. Widok w kierunku ulicy Browarnej. Fot. Michał Kalbarczyk

Tadeusza Rechniewskiego

Stanisława Mazurkiewicz:

Lipiec 1945 roku. Do Elbląga jechałam z moją kuzynką pociągiem towarowym. Siedziałyśmy na bagażach umieszczonych na podłodze, bo nie było siedzeń. W Olsztynie czekałyśmy całą noc na połączenie do Elbląga. O piątej rano podstawiono pociąg towarowy, którym dojechałyśmy na miejsce.

Kiedy wysiadłyśmy, naszym oczom ukazał się smutny widok. Budynek dworca PKP to był barak. Właściwy budynek dworca został zniszczony podczas działań wojennych. Z dworca poszłyśmy do domu przy ulicy Tadeusza Rechniewskiego, w którym mieszkała moja dalsza rodzina. Podczas drogi spotkałyśmy tylko dwie osoby. Dookoła panowała pustka i cisza. Gdziekolwiek w ruinach domów pokazywały się bezdomne koty. Mijałyśmy domy leżące w gruzach. Widok ten wprowadzał mnie w wielki smutek i lęk.

Dobrze, że mieliśmy gdzie się zatrzymać, a to dlatego, że mój kuzyn już wcześniej przybył do Elbląga. Podjął pracę i otrzymał mieszkanie. Tadeusza Rechniewskiego to ulica położona równolegle do ulicy Browarnej, przy której znajdowały się koszary wojska radzieckiego. Sąsiedztwo to było okropne. Nocami słyszeliśmy strzały z karabinów, bójki i kłótnie żołnierzy radzieckich. Kule świstały dość często. Często spędzaliśmy bezsenne noce w lęku o życie. Owijaliśmy się w pierzyny, żeby czuć się bezpieczniej.



35. Ulica Tadeusza Rechniewskiego. Fot. Archiwum Juliusz Marek



36. Ulica Tadeusza Rechniewskiego, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk

Ignacego Daszyńskiego

Bogdan Medyński:

To musiał być sam początek, pewnie 1946 rok. Na ulicy Daszyńskiego stały poniemieckie bloki. Na drugą stronę, w miejscu, gdzie dzisiaj jest Szkoła Podstawowa nr 1, przyjeżdżały furmanki i wyrzucały śmieci. Kiedy przyszła zima i te śmieci zamarzły, to z górki, która z nich powstała zjeżdżaliśmy na sankach. Latem strzelaliśmy tam z wiatrówek. Jeżeli są śmieci, są i szczury. Tak więc polowaliśmy na szczury.

Bawiliśmy się w wojnę. Nie bardzo umieliśmy w co innego się bawić. Chociaż zabawek było dużo w domach opuszczonych przez Niemców. To były zabawki po dzieciach niemieckich. Kwitła wymiana między nami.

W kierunku Barona i Rechniewskiego były glinianki. I Niemcy, i Polacy musieli pozyskiwać tę glinę. Został po tym ślad w postaci dołów, czyli doskonały teren na „wojnę partyzancką”. Byłem uczestnikiem tych zabaw.

Bardzo podobał mi się pan z taką wąską drabiną. Chodził i zapalał gazowe latarnie. Przepraszam, nie chodził, miał rower. On miał rower! To było coś niesamowitego. Zachodziłem w głowę, jak on to robi? Zapalek nie ma, a zapala lampę! I potrafi wejść po takiej wąskiej drabince.



37. Ulica Ignacego Daszyńskiego, rok 1979. Zdjęcie pochodzi z kroniki Szkoły Podstawowej nr 1 w Elblągu

Adama Próchnika

Bogdan Medyński:

Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, dlaczego akurat przyjechaliśmy do Elbląga. Mieszkaliśmy na Starym Mieście w Warszawie, przy ulicy Freta 23. W pierwszym dniu powstania przenieśliśmy się na ulicę Nowomiejską. Któregoś razu nas zasypało, była ewakuacja. Szereg ludzi, dookoła Niemcy, i tak szliśmy do pociągu. Potem był obóz w Pruszkowie.

Pamiętam jak dzisiaj, że w pociągu dostałem jabłko od Niemca. Miałem wtedy siedem lat. Nie wiem, ile czasu byliśmy w Pruszkowie. Wiem tylko, na czym spaliśmy. To były takie płyty wiórowo-cementowe, których używano do ociepleń budynku. Potem przenieśli nas do Słomczyna. Mamę wzięli na roboty, ja nosiłem kamienie z rówieśnikami na budowanym przez Niemców lotnisku. Robiliśmy to, co nam kazali. Tam zastało nas wyzwolenie, jak to się wtedy mówiło. Do dzisiaj widzę tych trzech Rosjan spalonych w czołgu. Mnóstwo takich dziwnych wspomnień zostało. Chociaż jeszcze gorzej to wyglądało, jak latem 1945 roku przyjechaliśmy do Warszawy. Niemcy przeszli, wojna trwała nadal. To było coś, czego nie da się porównać z niczym, bo w czasie po powstaniu warszawskim groby były wszędzie: na skwerku, na trawniku, tam gdzie dało się wykopać dół. Lato 1945 roku było bardzo gorące. Proszę sobie wyobrazić ten smród masowo ekshumowanych ciał. Przez długi czas czułem w gardle tę dziwnie słodką gałą.

Do Elbląga na pewno przyjechaliśmy jakąś większą grupą, przypuszczam, znajomych ludzi. Tak to się zazwyczaj odbywało. Najczęściej jedna osoba brała zapas jedzenia i wódkę, dzięki której można było dużo załatwić. Ktoś jechał pierwszy, wracał i mówił: jedziemy, nie ma na co czekać.

Nasz pierwszy adres w Elblągu to było Próchnika 5 mieszkania 1. Mieszkań było dużo tutaj, ale my w pierwszym momencie zamieszkaliśmy we dwie rodziny, bo tak było bezpieczniej. Mieszkaliśmy tak przez kilka tygodni. Zakrzątnęliśmy się, poznaliśmy, co tu można, a czego nie wolno i przenieśliśmy się kilka klatek dalej.



38. Ulica Adama Próchnika, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk

Robotnicza

Eugenia Paul:

Mój teść, Józef Paul po II wojnie światowej założył piekarnię przy ulicy Robotniczej 10. Piekarnia mieściła się na dole. Pozostałe piętra także zajmowała rodzina Paulów. Teściowie mieszkali na jednym pięttrze, na drugim my z mężem, na kolejnym szwagierka. Zrobił się taki dom rodzinny. Teść zmarł w 1948. Po śmierci teścia mój mąż ze swoim bratem zabrali się za tę piekarnię. To był przypadek, bo mój mąż właściwie wolałby robić coś innego. Lepiej czułby się w sprawach technicznych, ale piekarnia dobrze funkcjonowała, a rodzina była do utrzymania. Dlatego mąż z bratem jako dwaj mężczyźni podjęli się, żeby kontynuować pracę mojego teścia. Piekarnia działała do 1951 roku. Do czasu, kiedy wszystkich prywatnych przedsiębiorców niszczone domiarami w podatkach. Do tego doszła bardzo duża dewaluacja pieniądza. Proszę sobie wyobrazić, że za wszystkie pieniądze, które mieliśmy wtedy odłożone, kupiliśmy...wózek dla dziecka. Tak bardzo spadała wartość pieniędzy. Przy ulicy Robotniczej mieszkałam mniej więcej w latach 1949-1956. Stamtąd przeprowadziłam się na ulicę Nitschmanna.

Hubert Grabowski:

Kiedy zamieszkaliśmy przy ulicy Robotniczej 14, mieszkanie to było w pełni wyposażone. W piwnicach był węgiel, słoiki z przetworami. Można było wejść i mieszkać.

Przy Robotniczej mieliśmy duże podwórko, gdzie graliśmy w palanta, w klasy czy inne tego typu gry. Czasem ktoś miał piłkę albo jojo. Na ulicy nie było samochodów, tylko furmanki. Kto miał łyżwy, ten jeździł na łyżwach. To były takie łyżwy przykręcane do butów. Jeździło się po ulicach i chodnikach, bo były tak zaśnieżone.

Pamiętam ludzi, z którymi mieszkałam. W latach pięćdziesiątych większość moich sąsiadów wyjechała do Niemiec. Nas w domu była czwórka dzieciaków. Mama nie pracowała. Jak już ojciec zaczął pracować w rybołówstwie, to latem były przychody. Zimą, kiedy zalew zamarzał, ojciec łapał dorywcze prace. Tak że po wojnie do 1954 roku było bardzo ciężko. Żeby nie powiedzieć, że nędznie. Aż na Zalewie Wiślanym powstała spółdzielnia i wtedy rybakom się polepszyło.



39. Ulica Robotnicza. Fot. Archiwum prywatne Juliusza Marka

Bogdan Medyński:

W czerwcu 1947 roku zamieszkaliśmy przy ulicy Robotniczej 139. W tych mieszkaniach kuchnie miały spiżarki, które pełniły funkcję dzisiejszej lodówki. Ze spiżarek wychodziły otwory na zewnątrz, żeby cyrkulowało powietrze. W niektórych kuchniach była też wanna.

W pewnym okresie przybyło wielu mieszkańców przesiedlonych z terenów Wileńszczyzny. Przyjechali z różnym bagażem, łącznie ze zwierzętami hodowlanymi. Momentalnie w przydomowych ogródkach powstały chlewiki. Część wanien, które były w mieszkaniach, postawiono przy tych chlewikach.

Na parterze mieszkało trzech albo czterech milicjantów. W ich mieszkaniu nie było podłogi. Nie kryli się z tym. Była zima, musieli czymś palić w piecu. A podłoga była zrobiona z grubych, solidnych i suchych dech.

Pamiętam metalowe kosze na śmieci, które stały przed budynkami. Śmieci były wywożone przez miasto, co świadczy o tym, że już zaczęła się jakaś organizacja administracyjna.

Przez ten cały czas - od 1939 roku - byłem sam z mamą. Ojciec został - podoba mi się określenie - „gwałtownie wyzwolony” przez Armię Czerwoną w 1939 roku, wywieziono go na Syberię. W latach czterdziestych na podstawie umów międzynarodowych (Polska, Rosja, Wielka Brytania) personel lotnictwa wojskowego - ojciec służył w lotnictwie - został ewakuowany z Rosji do Wielkiej Brytanii. Potem do 1947 roku służył w RAF-ie (przyp. red: siły lotnicze Wielkiej Brytanii).

Przez ten czas ojciec szukał nas na różne sposoby. Ktoś przekazał mu, gdzie ja i mama jesteśmy. Kiedy kolega ojca dotarł do tego miejsca, nas już tam nie było. W przeciwnym razie już w 1945 roku bylibyśmy na Zachodzie, bo ojciec by nas zabrał. W końcu w 1947 roku udało się przez Czerwony Krzyż. Zaczęły przychodzić listy, przyszło kilka paczek. W czerwcu wrócił. To był powrót zorganizowany przez władze. Pojechaliśmy z mamą do Gdyni, dokąd ojciec przyплыł statkiem. Nie widzieliśmy się od 1939 roku. Kiedy wyszedł, zobaczyłem obcego pana.



40. Ulica Robotnicza 80, rok 1950. Fot. Archiwum prywatne Krzysztofa Komorowskiego

Gwiezdna

Bogdan Medyński:

Bardzo szybko przy ulicy Gwiezdnej zaczęło działać targowisko. Na początku była to gospodarka naturalna, czyli wymiana bez pieniędzy. Zresztą co komu byłoby z pieniędzy, skoro i tak nie można było za nie nic kupić.

Poza tym ludzie zawsze coś gdzieś potrafią znaleźć, poradzić sobie, wymienić. Ludzie znajdowali jedzenie w różnych miejscach. To, co człowiek potrafi zdobyć, kiedy wydaje mu się, że nic nie ma, to jest niewyobrażalne. Przekonałem się o tym wielokrotnie.

Miasto było puste, ludzie nie chodzili po ulicach. A jak wychodzili, to blisko miejsca zamieszkania, tam, gdzie czuli się bezpiecznie.



41. Targowisko przy ulicy Gwiezdej. Fot. Archiwum Państwowe w Malborku

IV.

Spacer

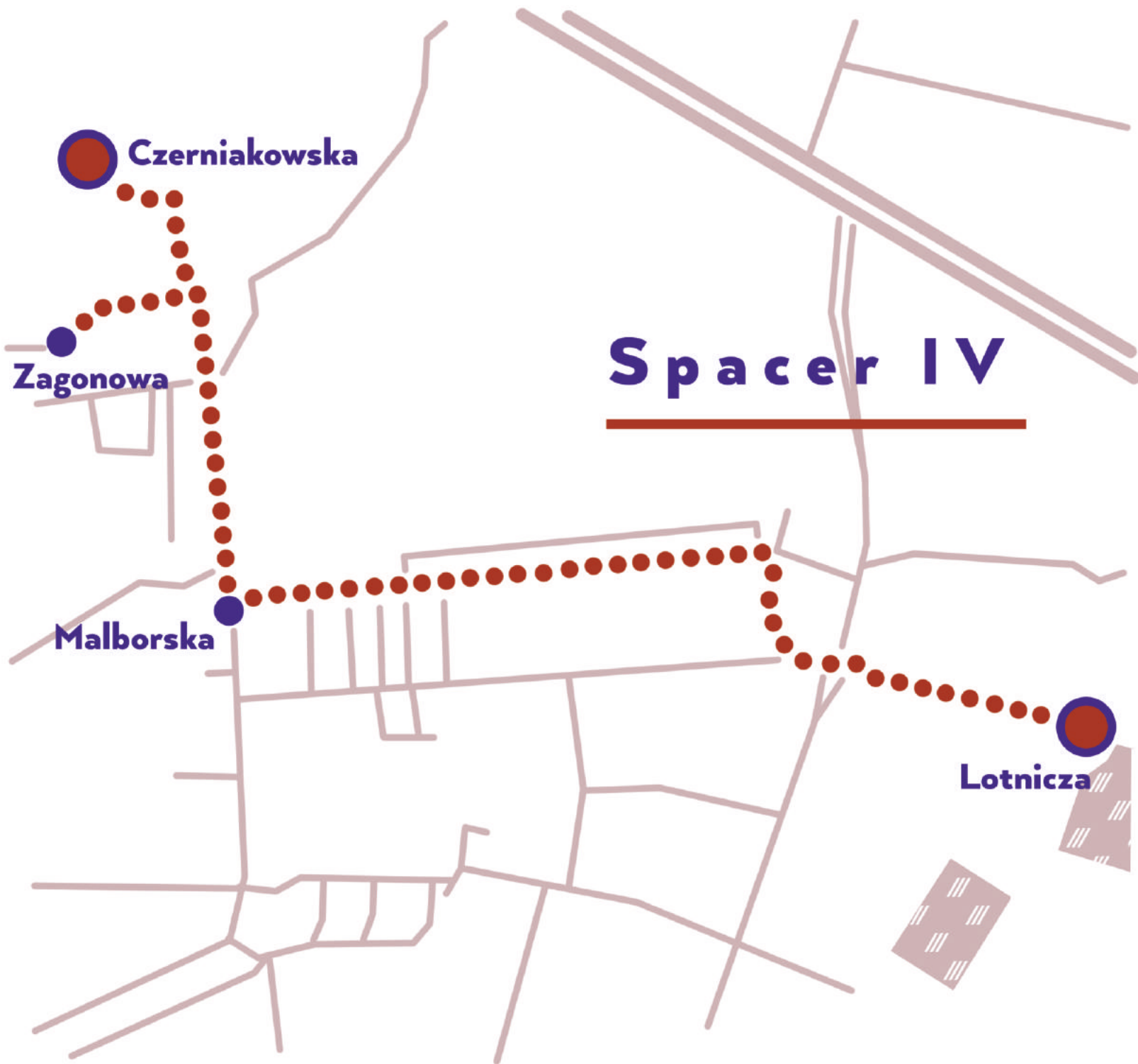
Długość_2,4 km

Czas trwania_29 min

Trasa

- > Czerniakowska
- > Malborska
- > Zagonowa
- > Lotnicza





Czerniakowska

Zagonowa

Spacer IV

Malborska

Lotnicza

Czerniakowska

Krystyna Olszewska:

To był 1942 rok, a ja miałam trzy lata, kiedy przyjechaliśmy do Elbląga. Urodziłam się na Starej Pradze przy ulicy Łochowskiej. Mieszkaliśmy najpierw w Warszawie, potem w Radomiu. Tam były bardzo duże walki. Nie zbiorowe, tylko takie ciche – napadano na ludzi, którzy szli ulicą.

Byłam sama z mamą. Ojca szybko zabrano jako czynną osobę wojskową. Był jednym z nielicznych, który miał lepsze wykształcenie. Najpierw z Warszawy wyjechali dziadkowie. Wyszli z założenia, że w Elblągu będzie już spokój, bo to niemieckie miasto. To znaczy w tamtym czasie było niemieckie. W Warszawie w każdą noc były zabójstwa, wybuchy i naloty.

W Elblągu spokój był do 1945 roku, kiedy zaczęło się wyzwalenie Polski od Niemców i działalność Rosjan. Ludzie o tych Rosjanach mówili bardzo źle, lecz u nas była moja ciocia, taka w wieku panienki. Wysoka, elegancka, miała wzięcie u tych Rosjan i oni nam podrzucali trochę jedzenia.

Mieszkaliśmy na drugim piętrze w kamienicy przy Czerniakowskiej 39 mieszkania 8. Nasz budynek był prawie nienaruszony, nie licząc odłamków, wybitych szyb czy reperowanych drzwi. Mieliśmy kuchnię na fajerki, to znaczy taki piec, na którym rozpalało się ogień. Fajerki to krążki, które się kładło po kolei w zależności od wielkości garnka.

Rosjanie w tym czasie zajmowali szkołę (przyp. red. obecnie Instytut Pedagogiczno – Językowy Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Elblągu). Ta szkoła jedną furtkę miała od ulicy Malborskiej, drugą od Czerniakowskiej.



42. Ulica Czerniakowska, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk

Malborska

Krystyna Olszewska:

Malborska była naszym pierwszym adresem, jak przyjechaliśmy do Elbląga. Nie ma już tego domu, trudno powiedzieć, jaki to był numer. Zaraz obok naszej klatki był fryzjer Burakowski, a w podwórzu stolarnia. To była szeroka ulica, miała duże domy z dużymi oknami.

Mieszkałam z dziadkami. Mama szła do pracy, a ja zostawałam z babcią. Dziadek pracował w tej stolarni, która była na podwórku. To mieszkanie na Malborskiej było przejściowe, z jednego pomieszczenia przechodziło się w drugie. Kuchnia, potem duży pokój i sypialnia. Ubikacja znajdowała się na korytarzu.

W barakach za torami przebywali więźniowie. Codziennie byli prowadzeni Malborską do prac przy odgruzowywaniu.

Na Malborskiej mieszkali też Cyganie, ale ja o nich złego słowa nie mogę powiedzieć. Oni mieli swoją hierarchię. Zarządzała nimi jedna pani. Zawsze siedziała w oknie, wszystko wiedziała, ale miała czułe serce. Pomagała nam, Polakom. Dawała ludziom konkretną pomoc rzeczową, na przykład rzucała jedzenie przez okno.

W dzień był względny spokój, ale zdarzało się, że Rosjanie chodzili z bronią wystawioną w kierunku człowieka, który siedł naprzeciwko. Widziałam, jak zabili kogoś na Malborskiej. Miałam wtedy jakieś pięć albo sześć lat.

Wielu ludzi nie potrafiło sobie poradzić w nowej rzeczywistości. Także z tym, że członkowie ich rodziny już nie wrócą. Popularny był bimber, czasami na podwórku znajdowało się wisielca.



43. Ulica Malborska, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk

Lotnicza

Wiesław Więkwicz:

W 1946 roku moi rodzice podjęli decyzję, żeby – na mocy dekretu Stalina – wyjechać z Wilna. Władze dały im kilka dni na spakowanie dobytku i sprzedaż tego, co można było zbyć. Rodzice potrzebowali pieniędzy, żeby opłacić pociąg – zwykły wagon bydłocy. Krewni w Wilnie sprzedali, co mogli, a mojej babci udało się zabrać kredens. Załadowali wszystko do połówki wagonu. Drugie pół tego wagonu zajęła rodzina Sienkiewiczów, z którą potem związała się i moja rodzina – wujek ożenił się z ich córką. Kto nie zdążył lub nie miał wystarczających środków, ten po prostu musiał zostać na miejscu.

Pociąg stawał regularnie, by nabrać wody do parowozu. Wujek kolejarz, korzystając z tych okazji, rozmawiał z pracownikami kolei, zbierając różne informacje. Kiedy pociąg zatrzymał się Elblągu, wujek dowiedział się od swoich kolegów po fachu, że postój potrwa przynajmniej sześć godzin. Elbląg był zrujnowany, a jedną z dzielnic, w której stały domy, było Zatorze – akurat blisko dworca. Wujek poszedł tam na zwiady. Był świadkiem szabru w opuszczonych domach po Niemcach. Całe majątki w tym czasie były rozkradane. Jechaliśmy już długo. Wszyscy byliśmy zmęczeni, więc kiedy okazało się, że możemy zająć wolne mieszkanie, zostaliśmy. Zamieszkaliśmy w jednym z opuszczonych domów, które się uchowały przy ulicy Lotniczej.

Życie w mieście było siermiężne. Po wojnie do Elbląga przyjechało dużo ludzi. Pociąg mojej rodziny nie był przecież jedynym, który przywoził repatriantów na tereny odzyskane. Okres powojenny to ciągła walka o wyżywienie, pracę, o którą w tamtych czasach nie było łatwo. Ojciec często wspominał, że jak już dostał na przykład zajęcie przy ciągniku, to na dzień dobry zwyczajowo trzeba było wypić pół litra wódki. Z alkoholizmem spotykano się na co dzień.

Moja babcia całe życie chciała wrócić do Wilna, bo ono jej się jawiło jako raj, jako miejsce, w którym życie płynęło zupełnie inaczej. Mój ojciec z mamą poznali się w Elblągu.

Tata przyjechał tu też jako repatriant, ale zupełnie inną drogą - z kolegami. Mieszkał na terenach obecnej Białorusi, we wsi Tomaszówka. To była taka oaza na pustyni pól. Z Wilna było łatwiej wyjechać niż z takiej wsi. A jeśli się udało, to tylko młodym - tak jak mojemu ojcu. Tata był szeregowcem, w 1939 roku poszedł na front walczyć w polskim wojsku. Został ranny pod Lublinem, dostał się do niewoli niemieckiej. 17 września po konsolidacji sowiecko-niemieckiej nastąpiła wymiana więźniów. Rosjanom przekazano rannych, a oni nie chcieli sobie robić kłopotu, więc puszcza ich do domu. Ojciec dzięki swoim ranom uchwalił się, w przeciwieństwie do jego dowódców, którzy prawdopodobnie trafili do Katynia czy Ostaszkowa. Po uwolnieniu wrócił do domu. Potem wiadomo - przyszedł drugi front. Niemcy w ogóle nie zajrzeli do Tomaszówki, więc ojciec przeżył wojnę, choć z nabytej wcześniej rany leczył się przez kilka lat. Wyjechał z Tomaszówki, ponieważ chciał zobaczyć świat, a do Elbląga trafił tak jak wielu innych, przypadkowo.



44. Ulica Lotnicza, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk



45. Ulica Lotnicza, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk

Zagonowa

Irena Rybka:

Mało znana jest historia reemigrantów z Chin, którzy po wojnie mieszkali w Elblągu. Mój tata, Henryk Kaczan, był jednym z nich. Ale zacznę od początku, czyli od dziadka, który mieszkał w lubelskim i był Polakiem z „krwi i kości”. W dziadka rodzinie było kilku braci, dostali do wyboru: albo każdy z braci pójdzie do wojska na pięć lat, albo jeden na dwadzieścia pięć lat. Rodzina doszła do wniosku, że z dziadka żaden rolnik, więc to on poszedł do tego wojska. Dziadek zrobił karierę na dworze carskim i dość szybko doszedł do rangi oficerskiej, ale do majątku już nie wrócił. W czasie rewolucji uciekł z dworem do Władystoku, a potem to już mogli robić, co chcieli. Przez granicę wyjechał do Mandżurii, znalazł się w Harbinie, wynajął z rodziną kucharzy carskich mieszkanie, ożenił się z ich córką i w Chinach urodził się mój tato.

Od 1946 roku konsulaty polskie zaczęły zabierać Polaków do kraju. Młodych wywozili wagonami do Polski. Sześćdziesiąt rodzin, jeden pociąg, trzy miesiące w podróży.

Wiedzieli, że jadą do Polski. Mówiono im: Do ojczyzny wracacie, ale jak mówić młodym o ojczyźnie, o której pojęcia nie mieli – tyle że się uczyli w szkole i znali język. To była parodia, ale nikt się nie mógł postawić, bo zabierali dokumenty. Dobrze mieli ci, którym dano tydzień na pakowanie, ale większości tylko dwa, trzy dni.

Jak w końcu rodzice przyjechali do Polski, chcieli wrócić do majątku dziadka - do Jabłonia. Dotarli tam jakimś cudem zimą i usłyszeli, że nie mogą tam zostać, że nie mają prawa łączyć się z rodziną. Decyzja o wyborze Elbląga była podyktowana faktem, iż dużo harbińczyków przyjechało właśnie do tego miasta. Tworzyli oni zgraną społeczność i wzajemnie sobie pomagali, ale trudno było żyć w Elblągu, ponieważ byli wytykani palcami i prześladowani zarówno przez sąsiadów, jak i przez władze.

Przez pierwszy rok mieszkaliśmy w małym pokoiku przy Zagonowej, a i tak wszyscy nam tego zazdrościli. Nawet jeszcze w 1952 roku wiele mieszkań i domków było do wzięcia. Gorzej było z innymi dobrami. Ludzie nie mogli patrzeć, że bardzo długo mieliśmy deputat mleczny, bo ojcu jako kinooperatorowi (przyp.red. Henryk Kaczan pracował w kinie „Syrena” w latach 1950-2000) się należał. Litr mleka za godzinę pracy przy urządzeniach. Był na placu przed kinem „Syrena” pawilon handlowy i tam mieścił się dosyć duży sklep nabiałowy. Chodziliśmy wybierać miesięczny przydział i zamienialiśmy mleko na mąkę lub cukier.³

³ Fragment wypowiedzi pochodzący z książki: *Projekcje. Znane i nieznanne historie o kinach w Elblągu*, K. Śluz (red.), Centrum Spotkań Europejskich „Światowid” w Elblągu, Elbląg 2018, s. 34.



46. Ulica Zagonowa, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk

V.

Spacer

- Włodzimierza Mengela

Długość_6,2 km

Czas trwania_1 godz. 19 min

Trasa

- > plac Dworcowy
- > Wojska Polskiego
- > Adama Mickiewicza
- > Tadeusza Kościuszki
- > Górnośląska
- > Romualda Traugutta
- > Stanisława Moniuszki
- > Marymoncka
- > Leśna





Spacer

Włodzimierza
Mengela

Spacer Włodzimierza Mengela

Włodzimierz Mengel:

Kiedy zaczęła się wojna, miałem pięć lat. Rodziców wywieźli do Austrii na roboty przymusowe. Ojciec pracował w fabryce samochodów. Tam przyuczyli go do zawodu spawacza. Mamę wzięli do fabryki łożysk kulkowych jako sprzątaczkę. Mnie zabrano do domu dziecka, gdzie spędziłem około tygodnia, do czasu kiedy przygarnęła mnie do siebie pewna austriacka, bezdzietna rodzina. Traktowali mnie całkowicie jak własne dziecko. Miałem sześć lat, gdy zostałem posłany do szkoły.

Moi prawdziwi rodzice nie mieszkali w obozie, dlatego że w miasteczku Steyr, gdzie byliśmy, było bardzo mało obcokrajowców. Raczej traktowano ich jak normalnych pracowników-robotników. Pod koniec wojny, gdy do Steyr zbliżyli się Rosjanie, rodzice wzięli mnie do siebie. Któregoś dnia do naszego mieszkania przyszło dwóch oficerów radzieckich, zapytali, skąd jesteście. Rodzice powiedzieli, że jesteście Polakami i przyjechaliście z Warszawy. Żołnierze odpowiedzieli, że za trzy dni jedzie transport i mamy się nim zabrać. Kiedy rodzice zaprotestowali, mówiąc, że nie są przygotowani, usłyszeli, że albo zabiorą się transportem, albo wyjadą na Syberię. Spakowaliśmy się. Każdy – mama, tata i ja – wziął po walizce, po plecaczku i poszliśmy na transport. Jechaliśmy co najmniej dwa tygodnie – przez Bułgarię, Węgry, aż dojechaliśmy do Warszawy.

Przyjechaliśmy do Warszawy, a tam sama ruina. Blok, w którym mieszkaliśmy przed wojną – zniszczony. Ojciec poszedł do PUR-u (przyp. red. Państwowy Urząd Repatriacyjny). Tam przed nim rozłożyli mapę i zapytali, dokąd chcemy pojechać na Ziemię Odzyskane. Mówili, że może wybrać: Śląsk, morze: Szczecin, Gdańsk albo Mazury. Ojciec nie znał tych terenów. Pokazał palcem na mapę: tu jest dużo wody, a ja lubię ryby. – Dobrze, za dwa dni macie transport do Elbląga – odpowiedział urzędnik. To był lipiec 1945 roku.

W Elblągu ktoś już na nas czekał i zaprowadził na obecną ulicę Wojska Polskiego, gdzie wtedy mieścił się PUR. Tam nas zarejestrowali i powiedzieli, że możemy iść i poszukać sobie mieszkania. Ojca skierowali do Urzędu Miejskiego i pokazali mu, jak tam trafić. W urzędzie ojciec powiedział, skąd jesteście, o tym, że skończył gimnazjum. To znaczy, że umie pisać, czytać i liczyć. Że pracował w tartaku i lubi zajmować się drzewem. Powiedzieli mu, że może być leśniczym. Wskazali, gdzie mieszka nadleśniczy Józef Bochdan. Ojciec poszedł do niego. Kiedy wrócił, powiedział, że został leśniczym w Vogelsangu (przyp. red. Bażantarnia).



47. Ulica Wojska Polskiego, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk

Spacer Włodzimierza Mengela

Włodzimierz Mengel:

Pamiętam, gdy po wyjściu z PUR-u szliśmy ulicą Mickiewicza. Stał tam nieduży wózek. Drabiniasty, z dyszelkiem, na małych kołach. Szczęśliwi włożyliśmy do niego swoje rzeczy i poszliśmy w kierunku Kościuszki. Z Kościuszki doszliśmy do Górnośląskiej, przeszliśmy ulicą Traugutta. Zrobiło się szaro i rodzice postanowili, że wejdziemy do któregoś domu przy ulicy Moniuszki.

Dom, w którym się zatrzymaliśmy, miał wszystko jak trzeba: zasłane łóżka, w szafach ubrania, lampy na suficie, obrazy na ścianach, talerze na stole. Jak Niemcy wyskoczyli do ucieczki, tak wszystko zostało. Przespaliśmy się w tym domu, ale wydawało nam się w nim jakoś ciemno. Rodzice stwierdzili, że tutaj nie zostaniemy.

Kiedy szliśmy, mamie spodobały się wille przy ulicy Kościuszki, lecz ojciec nie chciał tu zostać. Bał się, że jak tu zamieszkamy, to później ten dom nam zabiorą. Doszliśmy do obecnej Marymonckiej. Na torach stał tramwaj, a po prawej stronie dwa rzędy samochodów: trochę poniemieckich, trochę radzieckich. Czołgi, samochody osobowe i motocykle. Wszystkie rozbite, niektóre spalone. Po prawej stronie stały domki. Weszliśmy, a w głębi był stawik. Ojciec mówi: tu. Tu będę ryby hodował. Na co z kolei nie chciała zgodzić się mama, mówiąc, że tu zjedzą nas komary. Zostaliśmy w tym domu tylko na jedną noc. Rano znowu zapakowaliśmy wszystko na wózek i przejechaliśmy może ze sto metrów ulicą Marymoncką. Zajrzeliśmy do ostatniego domu po prawej stronie. Na dole była duża kuchnia i trzy pokoje. Na górę prowadziły schodki, bardzo zakręcone, a tam małe pokoiki. Rodzice stwierdzili, że tutaj nie zostaniemy. Wyszliśmy z tym wózkiem i zastanawialiśmy się, dokąd dalej iść. Mama zauważyła kolejne domki. Tu, gdzie obecnie jest ostatni przystanek tramwajowy, szła ścieżka pod górę. Weszliśmy do pierwszego domku po prawej stronie. Był przy samym lesie. Ten dom na dole miał duży pokój, wielki kominek, duży taras wyłożony marmurem i niedużą kuchnię. Na górze znajdowało się pięć malutkich pokoików. W salonie na dole zobaczyliśmy rozsypane zdjęcia, a na nich Adolfa Hitlera w domku, w którym byliśmy. Jak się później dowiedzieliśmy, to osiedle częściowo było przeznaczone dla pracowników Schichaua, a częściowo dla partyjnych. Zamiast pozbierać chociaż trochę tych zdjęć, poszliśmy dalej. Rodzice zauważyli, że w tym domu nie ma pieców. Obawiali się o to, jak będą go ogrzewać zimą. Nie wiedzieli, że ten dom był wyposażony w centralne ogrzewanie.



48. Park przy ulicy Adama Mickiewicza, od 2017 roku noszący nazwę Generała Bolesława Nieczuja-Ostrowskiego.
Fot. Archiwum Państwowe w Malborku

Spacer Włodzimierza Mengela

Włodzimierz Mengel:

Pokręciliśmy się i poszliśmy dalej. Doszliśmy do obecnego Osiedla Metalowców. Idziemy, patrzymy, a tam same domki dwurodzinne. Przy ulicy Leśnej ojciec wypatrzył dom jednorodzinny. Wyglądał tak jak dziś, tylko dachówka była inna. W tym domu było wszystko to, co trzeba. Z wyjątkiem szyb w oknach w dwóch pokojach.

Jak tu przyszliśmy, na całym osiedlu było może maksymalnie dwadzieścia-trzydzieści niemieckich rodzin, które zostały. A tak pustka. W każdym domu wszystko, bo Niemcy uciekali, jak kto stał. Chodziliśmy po tych domach i szukaliśmy tego, co nam było potrzebne: naczyń, talerzy. Czego brakowało? Jedzenia. W Urzędzie Miejskim rodzice dostali kartki, ale to jedzenie raz było, a raz nie. Trzeba było samemu się organizować. Na samym początku, jak przyjechaliśmy, znaleźliśmy drewnianą beczkę z topionym serem. Jedliśmy ten serek przez dwa miesiące, dobry był. Któregoś razu rodzice zauważyli dziko biegające kury. Mama zaproponowała, żeby je złapać do hodowania. Przy domu stała szopka, chcieli ją sprawdzić, czy nadawałaby się do trzymania kur. Otwierają drzwi, a tam motocykl BMW z koszem, a na koszu karabin maszynowy i taśma nabojoowa. Rodzice wyprowadzili motor i urządzili w tej szopie kurnik.

W sierpniu ojciec dowiedział się, że otwierają szkołę. Była to jedna szkoła na cały Elbląg. Mieściła się przy ulicy Pocztowej. Poszedłem do piątej klasy. Wydaje mi się, że chodziłem tam do 1946 roku. Później otworzyli szkołę nr 3 przy ulicy Agrykoła. Chodziłem tam do ukończenia szóstej klasy. W klasie było nas może piętnastu. Z tym że dzieci były różne wiekowo. Ja miałem dziesięć lat, ale byli tacy, którzy mieli i osiemnaście. Z tamtej szkoły poszedłem do obecnej szkoły gastronomicznej (przyp. red. Zespół Szkół Gospodarczych). Wtedy to była ogólnokształcąca jedenastoklasówka.

Na naszym osiedlu stopniowo zaczęli pojawiać się Polacy. Były dzieci, niemieckie też. Bawiliśmy się ze sobą. W co się bawiliśmy? Przede wszystkim w berka, w strzelanie – zbierało się duże pociski, waliło się łuską o kamień, żeby wypadł czubek od łuski, bo tam było dużo prochu. Ten proch ładowało się do kanistra na benzynę, robiło się pośrodku dziurkę i wsadzało się kijek z prochu, bo w niektórych pociskach był proch nie sypany, tylko były takie laski. Taką laskę zapalało się i uciekało daleko. Jak ogień doszedł, jak strzeliło, to rozerwany kanister leciał na pięćdziesiąt metrów w górę. Drugie strzelanie to było strzelanie z naboju do rakiet. Taką raketę kładło się na deseczce, zaczepiało o gwóźdź, żeby rakieta sterczała do góry i z tyłu też podpalało się proch, wtedy ta rakieta leciała w górę albo na bok.

W każdym domu było po kilka par nart. Bo każdy Niemiec miał narty – dziecięce, dla dorosłych. Były też sanki. Bawiliśmy się piłką, w złodziei i w policjantów. W lesie przywiązywaliśmy do gałęzi liny - wszędzie można było je znaleźć - i bujaliśmy się na nich. Między domami był rów uliczny. Tam się siedziało. Jeździliśmy na rowerach. Nikt się nie nudził.



49. Ulica Marymoncka, rok 2019. Fot. Michał Kalbarczyk



50. Rodzina Mengelów przy ulicy Leśnej, rok 1946. Fot. Archiwum prywatne Włodzimierza Mengela

Wspomnieniami podzielili się:

Szymon Gieryga – wnuk Jana Gierygi, członka Morskiej Grupy Operacyjnej.

Helena Grabowska – urodzona w listopadzie 1944 roku w Bydgoszczy. Do Elbląga przyjechała w 1946 roku. Pracowała jako księgowa.

Hubert Grabowski – syn Leopolda Grabowskiego, wysłanego w 1939 roku do Elbląga na roboty przymusowe. Urodzony w 1942 roku w Elblągu. Pracował w rybołówstwie.

Witold Grodziewicz – do Elbląga przyjechał w marcu 1945 roku jako jeden z osiemnastu członków Morskiej Grupy Operacyjnej.

Bogdan Medyński – urodzony w 1937 roku w Warszawie. Do Elbląga przyjechał latem 1945 roku w wieku ośmiu lat. Wieloletni członek zarządu Spółdzielni Mieszkaniowej „Zakrzewo”. Współautor (razem ze Zbigniewem Zajchowskim) książki pt. „Elbląg i okolice na starych pocztówkach”.

Włodzimierz Mengel – urodzony w październiku 1934 roku w Warszawie. Do Elbląga przyjechał z rodzicami w lipcu 1945 roku. W wybranym wówczas domu przy ulicy Leśnej mieszka do dzisiaj. Zawodowo pracował jako tłumacz języka niemieckiego.

Irena Łącka – urodzona w sierpniu 1927 roku w Warszawie. Do Elbląga przyjechała drugim transportem, w 1945 roku. Pracowała jako salowa w szpitalu miejskim przy ulicy Żeromskiego.

Krystyna Olszewska – urodziła się w lipcu 1939 roku w Warszawie. Do Elbląga przyjechała w 1942 roku. Pracowała na kolei oraz w Urzędzie Wojewódzkim (dawne województwo elbląskie).

Eugenia Paul – urodzona w 1927 roku. Do Elbląga przyjechała w czerwcu 1946 z miejscowości Sierpowo pod Poznaniem. Pracowała w księgowości i finansach, między innymi jako zastępca głównej księgowej w Banku Inwestycyjnym w Elblągu.

Irena Rybka – córka Henryka Kaczana, reemigranta z Mandżurii.

Janusz Salmonowicz – syn Stefana Skrzyszowskiego, uznawanego za jednego z ostatnich polskich cichociemnych, skazanego na śmierć przez stalinowskie władze Polski Ludowej.

Wspomnieniami podzielili się:

Helena Stachnowicz – urodzona w maju 1930 roku w Stoczku Łukowskim (woj. lubelskie). Przyjechała do Elbląga w 1946 roku. Nauczycielka języka polskiego, autorka wierszy i bajek dla dzieci oraz opowiadań o rodzinnych stronach. Przez lata pracowała w Radiu EL, gdzie wcielała się w postać Babci Agatki.

Krystyna Trudnowska – córka Ryszarda Mittaga, współorganizatora pierwszych powojennych władz miasta Elbląga (pełnił m.in. funkcje sekretarza i wiceprezidenta Elbląga).

Eugeniusz Woźniak – urodzony w grudniu 1927 roku w Gnieźnie. Do Elbląga przyjechał w wieku osiemnastu lat w czerwcu 1945 roku wraz z pocztą inowrocławską. Całe życie zawodowe był związany z pocztą.

W przewodniku wykorzystane zostały wspomnienia zebrane przez Stowarzyszenie „Koło Pionierów” im. inż. Mieczysława Filipowicza i archiwizowane przez Stowarzyszenie Elbląg Europa: **Krystyny Dudy, Jerzego Kani, Waldemara Krzysztofika, Stanisława Mazurkiewicza, Pawła Sikorskiego oraz Wiesława Więckiewicza.**